

ih

1865

POLSKA

NA DRODZE

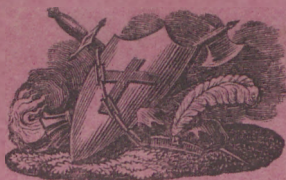
POKOJU I MIŁOŚCI

PRZEZ

Walerego Wielogłowskiego.

„Młody Polak po szkodzie.“ Już były te szkody,
„Dziś na nas obrócony mają wzrok narody;
„Lub nas rządnych, przezornych, czynnych, świat pochwali,
„Lub uad chcąymi ginąc nikt się nie użali.“

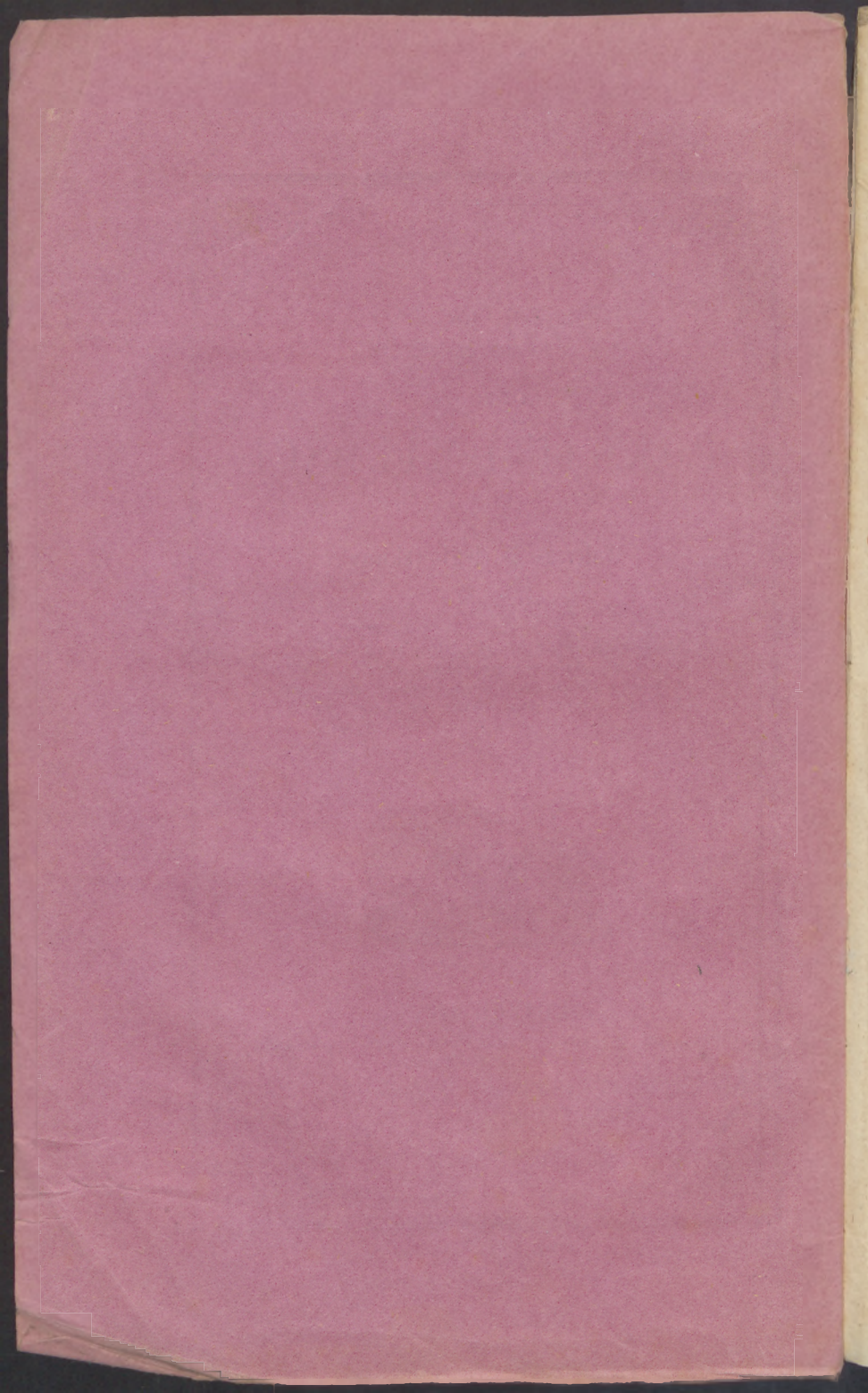
Trębecki.



KRAKÓW 1865.

NAKLADEM KSIĘGARNI I WYDAWNICTWA DZIEŁ KATOLICKICH,
NAUKOWYCH I ROLNICZYCH

W. Wielogłowskiego i W. Jaworskiego.



POŁSKA

NA DRODZE

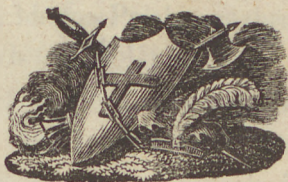
POKOJU I MIŁOŚCI

PRZEZ

Walerego Wielogłowskiego.

Jan Szaniecki.

Stawra.



KRAKÓW 1865.

NAKŁADEM KSIĘGARNI I WYDAWNICTWA DZIEŁ KATOLICKICH, NAUK. I ROLN.
W. Wielogłowskiego i W. Jaworskiego.

CZCIONKAMI KAROLA BUDWEISERA.

POBISKA

ZŁ BRODNE

POKOJU I MIŁOŚCI

Watersce Witoszowskiej

Def 520/47

Jan Świątek

Wrocław



WITOSZOWSKA

WITOSZOWSKA

WITOSZOWSKA

PRZEDMOWA.

Ktokolwiek dotąd pisał o Polsce a chciał być przez publiczność ze smakiem czytany, musiał w dobrej lub złej wierze wróżyć nieszczęśliwej naszej zapaśnicy niechybne zwycięstwa, i łudzić ją na łożu boleści nadzieją rychłego powstania. Wszystkie też pisma w ostatnich latach ku temu zmierzały, iżby ukryć przed sobą i ojczyznę rzeczywiste położenie, a wskrzeszać szluczną podniętą gasnącą ku nowym wysileniom zapał. Widzieliśmy: iż tę biedną Polskę, rozbrojoną, osłabłą, a w krwi i łzach tonącą, stawiano ciągle w szranki ku niemożliwej walce, bez obliczenia jej sił, bez opatrzenia jej ran, i bez namaszczenia ducha ku nowemu w prawdach religijnych i politycznych zmartwychwstaniu.

Nie ośmielimy się jednak na złą stronę przesądzać wewnętrznych zamiarów tej części ruchliwej społeczeństwa, która korzystając z powszechnej świata zawieruchy, trąbiła na cztery wiatry pobudkę narodowego wyswobodzenia; powiemy

tylko, iż była w błędzie tak co do pojęć o względnym usposobieniu narodu, jak i co do wyboru środków, oznaczeniu czasu i ocenieniu towarzyszących okoliczności.

Surowiej sądziłby nam wypadało politycznych szczerwaczy, którzy pod pozorem zaprowadzenia ulepszeń towarzyskich kusili się rozbijać wszelką narodową spojność; lecz w tym sądzie wyprzedził nas już wyrok opinii publicznej, a więc nad skazanymi i powalonymi o ziemię pastwić się nie chcemy. Zresztą, nie wzięliśmy sobie za cel w niniejszym dziełku mitrzyć słabych sił naszych na walce ze złem dokonanem, lub też nudzić czytelników lamentem na smutne losy i czasu koleje, bo myślimy, że te wszystkie narzekania, acz słuszne, na próżno drażnią i wprowadzają w stan gorączkowy, a nic nie budują. Wolimy zatem nieść ulgę i pociechę, a dostawić choćby jedną cegłę do nowego gmachu, jak płakać w rozpaczliwym lenistwie na zwaliskach dawniej naszej dziedziny, lub upierać się z bracią o część wspólnych nam przewinień. Do przeszłości więc odwoływać się będziemy o tyle, o ile nam to ku rozjaśnieniu obecnego stanu posłuży, lecz weźmiemy za punkt wyjścia dzisiejsze położenie kraju, badając skrzętnie: w jakiby sposób służyć narodowi w tej epoce należało. Nie ma bowiem według nas ani jednej chwili w życiu narodów,

w którejby ludzie ojczyznę swą kochający pracowali dla jej dobra z większym lub mniejszym pożytkiem nie mogli; a chociaż niepodległość i wolność rozszerzają dla każdego pole poświęceń i działalności, to przecież i w ciasnym kółku niewoli da się dobro ogólne przysparzać, jeżeli się ku temu obiera stosowne i rozsądne środki.

Dwie są drogi, których naród używa ku odzyskaniu utraconej niepodległości; a na nicto rozchodzą się zwykle poświęcenia ludzi zarówno dobrze krajowi życzących. Pierwszą drogą jest: rewolucya albo wojna; drugą zaś: spokojne i ciągle rozwijanie się w cnotach prywatnych, rodzinnych i towarzyskich; pilne strzeżenie wiary ojczyśczej, oraz języka i obyczajów, a nieustanny postęp w oświecie i godności wewnętrznej. Na pierwszej drodze przełamuje naród siłą oręża jarzmo obcej władzy, ale jeszcze nie zapewnia sobie warunków porządnej organizacyi, to jest: iż, zwalczwszy nawet złe zewnętrzne, może nosić wewnątrz siebie zaród śmiertelności. Na drugiej zaś wykształca w sobie siłę moralną oraz żywotność do tego stopnia podwyższa, że ta, górując nad złem zewnętrznym, zniewala go, rozbija, i w końcu zwycięża. Pierwsza droga należy więc do czasów pogańskich, a druga do chrześcijańskich. Pierwsza więc zadowalnia pychę narodu i ma źródło w zemście, druga płynie

z rozsądnej miłości kraju i dogadza rzeczywistym jego interesom. Pierwszej drogi użyć tylko można (z pomyślnym skutkiem) w bardzo rzadkich razach, a po drugiej bezpiecznie naród kroczy, mimo przeszkód stawianych i trudności względnego do obcych rządów położenia.

Że zaś po wielekroć próbowała już Polska pierwszej drogi, a za każdym podźwignieniem miecza głębiej się w grób zapadła: przeto nie wahamy się stręczyć jej bezpieczniejszego środka, którego jeszcze dotąd mało zażyła.

Co do nas: oświadczamy sumiennie i otwarcie, iż, odstąpiwszy od wielu lat drogi burzącej i rewolucyjnej, nie pokładamy w niej nadziei naszych, ale całym sercem i duszą przechylając się za drogą spokojnego rzeczy publicznej rozwoju, na tej tylko drodze pracować dla kraju zamierzamy.

W tém więc dziełku nie mamy na celu rozbudzać szlachetnych zapewne, ale na teraz bezowocnych namiętności rycérskich, ani poważymy się wyzywać ojczyznę naszą do ofiar, któreby resztę jej sił wyczerpnęły, ale owszem postaramy się przekonać czytelników: iż można dużo lepiej i skuteczniej dopełnić obowiązków patryotycznych na drodze pokoju i miłości, a niżeli na drodze burzy lub krwawych zapasów.

Spodziéwać nam się wolno po wyrozumiałości ludzi przeciwnych nam opinij, że uszanują

w tém dobrą wiarę naszą (wspartą wieloletniém doświadczeniem) tak jak i my ich przekonania szanujemy, chociaż onych nie podzielamy; i że, czytając nas z bezstronnością (prawym ludziom właściwą), przyznają w wielu względach słusność uwag naszych. Dla nich téżto głównie to dziełko pisać postanowiłem; bo od nich, jako najczynniejszych w narodzie członków, zależy nadanie właściwego kierunku sprawie ojczystej. Jeżeli oni działalność swoją ku rozsądniejszemu skierują drogom, i przestaną burzyć a zaczną budować, to staną się ważnym narzędziem w ratunku ojczyzny, a razem usprawiedliwią się narodowi z słusznego poniekąd zarzutu: „jakoby im mniej chodziło o dobro kraju, a niżeli o tryumf teoretycznych pomysłów w chorobliwej wyobraźni wymarzonych, lub podniesionych ze śmieci ulic niemieckich albo francuskich.“ Jeśli zaś, upornie stojąc przy swoim, postanowią szukać w zmąconych wodach ojczystej sprawy połowu, to niechaj naprzód wiedzą, że już nie z bronią w ręku jako żołnierze, ale raczej z grabarzy rydłem ku pogrzebaniu zabitej Polski stanąć będą musieli.

Lecz nie!.. tę ostateczność trudno nam przypuścić, i wolimy raczej ufać: że ludzie, którzy bez broni i siły niewahają się pierwsi rzucić rękawicy stokroć liczniejszym nieprzyjaciołom, po-

siadają dosyć wewnętrznej szlachetności, iżby, zwyciężając miłość własną, odstąpili błędu dla prawdy, i dość odwagi moralnej, iżby, przyznawszy się do fałszywej drogi, weszli śmiało na tę, którą za właściwszą i lepszą uznają. Gdybym się jednak zawiódł na bezstronności czytelników moich, i padł ofiarą zawistnej krytyki, to i wtenczas nie odrzucę kamienia przeciwnikom moim, ale wierny myśli pokoju, miłości i zgody, doczekam się ich przy narodowym zrzebie, i powitam przy wspólnej pracy odbudowania tego, co ręka poniekąd obca zniszczyła, a cośmy także sami w gruzy potracili.

Pisałem w Krakowie dnia 15 grudnia 1849.

O WOJNIE I POKOJU.

W poeie dzisiejszej społeczeństwo nasze za zbyt się chełpi cywilizacją i dokonanym w polityce postępem, abyśmy nie zwrócili uwagi na sprzeczność zachodząca między celem ostatecznym postępu i oświaty, a środkami, których ludzie ku oniej rozwinięciu używają, i drogi, po której się ku mniemanemu szczęściu puścili. Dla tego rozbierzemy dwa główne pytania; najprzód: czyli wojna lub pokój jest ostatecznym zadaniem społeczeństwa, a powtóre, czyli postęp na drodze tylko wojny rozwijać się może i prowadzić do coraz większych swobód i korzyści. Jeżeli zaś posłuchamy głosu Bożego, albo się własnego sumienia zapytamy, łatwo się nam będzie przekonać: że nie wojna, ale pokój, jest ostatecznym celem człowieka, zakładem jego szczęścia, ostatnim kresem jego ziemskiej pracy i najwyższą nagrodą, jaką Bóg cnotcie przyobiecał.

Kiedy zbawiciel urodził się dla świata, aniołowie Boscy powitali jego przyjście jako zakład pokoju, i wyspiewali sławny hymn po wszystkie wieki: „Chwała Bogu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi!“ i jakoż Pan nasz i zbawiciel, księciem pokoju nazwany, przy każdej okoliczności stawiał go jako najwyższe dobro, a nawet testamentem go światu zapisał, mówiąc:

„pokój daję wam.“ Zaiste, największe w tém dziedzictwo łaski swojej światu zostawił! Bo czémże właściwie jest pokój? Oto *harmonią*, będącą podstawą życia duchowego i fizycznego, *równowagą*, na której się wszelki stosunek świata materialnego i świata moralnego opiera. Pokój więc nie jest to znicrucowanie i stan śmierci, ale przeciwnie jest on życiem wedle zasad harmonii i równowagi urządzoném. Widzimy, iż gdy człowiek, zajęty ważną jaką sprawą, jest przez drugiego w pracy swój natrętnie przeszkodzonym, odzywa się: „*daj mi pokój!*“ O cóż on się wtedy upomina? czyliż żąda, aby go zostawiono w znicrucowaniu? bynajmniej; dopomina się właśnie o wolność spokojnego rozwijania swój pracy. W życiu przysłego świata (najpełniejszym, bo duchowém i wiecznym, w życiu, mówimy, w którym istnienie nasze zléwa się z Bóstwem) pokój jest także głównym przymiotem i warunkiem szczęścia, a najdawniejsze ludy życzyły zmarłym odpoczynku czyli pokoju na łonie Bożém. Świat przeto obecny i przyszły, ziemia i niebo, materya i duch, wspólny mają cel osiągnięcia pokoju, czyli urządzenia się wedle najwyższej harmonii, zgody i równowagi.

Pokój przeto, wzięty bezwzględnie, nie wyłącza ani ruchu, ani pracy, ani postępu, ale owszem jest warunkiem życia, pracy i postępu harmonijnie i zgodnie urządzonych. W dawnym języku polskim: *koić*, oznaczało przynosić ulgę w cierpieniu i boleść uśmierzać, oznaczało właśnie doprowadzić czyto ciało czyli téż ducha do jego normalnego stanu, a ztąd ukoić, czyli uspokoić, znaczy uharmonować, zrównoważyć i urządzić w sposób błogi i zgodny.

Pokój wewnętrzny w pojedynczym człowieku jest zgodą i równowagą wszystkich władz duchowych, a ra-

zem objawia harmonią pomiędzy wolą człowieka a prawem wyższem; jest on zarazem stanem największej błogości, jakiej człowiek na ziemi używa; zakładem uprzejmego z drugimi pożycia i zadatkim nieraz wiecznej szczęśliwości. Rozléwa się on na zewnątrz i udziela drugim, a niewyczerpany w swych dobrodziejstwach stanowi dla człowieka źródło pomyślności.

Pokój w rodzinie i domownictwie jest także ową harmonijną kombinacją względnych obowiązków, które, przez sprawiedliwość zrównoważone a z miłości płynące, stanowią zgodę uczucia, uprzejmość w pożyciu, jedność w działaniu, wspólność w celu i podział przyzwoity w środkach i w pracy.

Pokój w narodzie jest owém roztropném oznaczeniem względnych obowiązków pojedynczego obywatela lub rodziny do całego społeczeństwa; i nawzajem przyznaniem każdemu praw, z dopełnienia obowiązków wynikłych. Słowem: jestto stan, w którym nastąpiło zrównoważenie praw z obowiązkami, wolności z ładem i połączenie ogniów w taką całość zbiorową, iż pojedynczy człowiek o tyle jest szczęśliwym, o ile to szczęście czerpie ze źródła powszechnej zgody i pomyślności; i nawzajem: całe społeczeństwo, solidarnie za prawa pojedynczym swym członkom przynależne odpowiadając, nie boi się, aby część pokrzywdzona mieszała jego harmonią.

Wszystko więc począwszy od człowieka, rodziny i narodu aż do ludzkości, i począwszy od najmniejszego stworzenia w świecie materyalnym aż do ruchów planetarnych, potrzebuje opierać się na układzie harmonijnym, i tak wewnątrz jak i względnie reszty Bożego utworu zostawać w pokoju. Jak pogoda w atmosferze po-nadziemskiej jest stanem zwykłym, błogim i upragnionym,

a zawierucha, słońca albo burza przychodzi wyjątkowo zachmurzać pogodny horyzont a nieść plagi lub zniszczenie, tak też pokój jest ową pogodą duszy, upragnioną tak dla ludzi pojedynczych jak i dla narodów, a stan wojny uważać tylko można za wyjątkowy i zawsze w środkach okropny, chociaż szczęśliwym nieraz skutkiem usprawiedliwiony. Chodzi więc głównie o to: aby każde społeczeństwo, chętnie się oświata i cywilizacją, a powołujące się ciągle na wzniosłość wyobrażeń w wieku naszym rozwiniętych, zgodziło się na tę zasadę: iż *pokój* a nie *wojna* jest ostatecznym zadaniem społeczeństw, a tym samym: iż przyjmując stan walki jako wyjątkową a często nieszczęśliwą konieczność, nie chce go uważać za stan ciągły, zwyczajny, za warunek postępu i cel powszechnego szczęścia, i również: że przyjmując tylko stan wojny jako karę, szukać go i wywoływać nie zapragnie, ani też w nim upatrywać będzie warunków wolności i swobód narodowych.

Jakże jednak dójść do tego pokoju? Przysłowie pogańskie mówi: „Iż kto chce pokoju, niech się gotuje do wojny;“ i to przysłowie tak poszło w smak światu, że każdy, w kolce uzbrojony, odstrasza sąsiada, ale go też i odstręcza; i chociaż broni się od napaści, to też oddala wszelką przyjaźń i zaufanie. Języć się ciągle i rozgraniczać murem, aby się wzajemnie od zagłady ochronić, jestto stan, który dowodzi, że człowiek zamiast doskonalić się ku anielstwu, do zwierzęcego powraca stanu.

Cóż więc stoi na przeszkodzie do rozwinięcia zasad pokoju? Zdaje nam się, iż trzy główne powody: pycha, zawiść i kłamstwo.

Pycha, z której pnia głównego rozrastają się szerokie gałęzie zazdrości i podejrzliwości, daje zawsze pierw-

szą pobudkę do walki. Ona w sercu ludzkim jest głównym zaczynem na wszelki kwas. Czyli zaś silna i potężna objawia się w groźniejszych skutkach, lub też płaska i mała szamocze się w nędznej próżności, zawsze ona, i wszędzie ona, wywołuje walkę, i ogień zniszczenia podkłada. Jeżeli zaś głównym powodem wewnętrznej lub zewnętrznej wojny tak w indywidualach jak i w społeczeństwie jest pycha, to przecież umieć ona się odziać tak pięknymi formami poświęcenia i godności, a nawet tak się płaszczem miłości Boga i bliźniego a przywiązania do ojczyzny okryje, iż nie tylko od nagany się ustrzeże, ale nawet do pokłonów zmusza ludzi dobrodusznych, lekkliwych i próżnych; bo rzecz dziwna! iż próżność zawsze najniżej kłania się pysze, jakby swojej starszej siostrze. Gdyby każdy człowiek przejrzał z bezstronnością dzieje własnego sumienia, to przekonałby się łatwo, iż powodem wewnętrznego niepokoju i walki z sobą i z drugimi, była zawsze pycha, a co najmniej, próżność, którą on w chwili poczucia pierwszych poruszeń nazwał sam u siebie szlachetną ambycją, godnością i obowiązkiem bronięcia praw mu należnych czy to duchowych czy fizycznych. Toż samo na większy rozmiar zastosować można do życia społeczeństw i narodów. Chociaż zaś pycha nie da się odłączyć od uczucia wrodzonej niepodległości, to przecież tak gwałtownie wypręża się ku osiągnięciu ostatecznego swego celu, iż nie tylko wspina się nad siły, ale czasem zniża się do podłych zabiegów i fałszywej uległości, byle doszła do założonej przez siebie mety; podobna do tygrysa, który się płaszczy i przyczaja wtenczas, kiedy na łup skok odległy rozmierza. Ta pycha, dziedzictwo po straconych z nieba aniołach, wlecze się za każdym jak kula więzienna i dźwiga ją zarówno bo-

gaty jak i ubogi, mądry jak i głupi; objawia się zaś w tém: że każdemu się zdaje, iż nie jest we właściwém stanowisku, że go Opatrzność do wyższych celów przeznaczyła, i że mu tylko ktoś inny miejsce przynależne zabrał. Ztąd podejrzliwość i zazdrość a następnie ochota do walki, usprawiedliwioną obroną lub odzyskaniem praw swoich. Ztąd początki zawiści usprawiedliwionej oporem strony przeciwnej, niedającej się zepchnąć z zajętego stanowiska. Lecz co więcej: pycha nie tylko jest źródłem zazdrości, ale jest też i chciwości, albowiem chciwość jest tylko zamiłowaniem środków dogadzających pysze.

W porządku społecznym pycha jest rodzicielką demokracji i arystokracji, czyli jednych, którzy zazdroszczą stanowiska, a drugich, którzy go niezużyteczniają. Słowem, czyli to wpatrzmy się głębiej w powody zaborów i niesprawiedliwych na cudzą narodowość napaści, czy na rewolucye społeczne, rozlewające krew bratnią (w upomnieniu się niabyto o prawa ludowe a wywoływane najczęściej pychą niedorostków), lub też bliżej nas rzucimy okiem na to wyprężanie się pretensjonalne niższych stanowisk społecznych względem osób, które z wiekowych podań zajmują wyższe szczeble hierarchicznego porządku, to zawsze dostrzeżemy, iż głównym powodem walki jest pycha, i ona tylko łamie harmonią między konieczną różnicą, zgodnie z sobą żyć przeznaczoną.

Dzieje nas uczą, iż pierwszy Kaim zapalił pochodnią wojny; i widzimy, że w duszy jego bodźcem do morderstwa była pycha, bo znieść nie mógł, aby dym ofiarny, czyli chwała jego, wlokły się po ziemi, kiedy rodzonego brata pokorne poświęcenie wznosiło się ku niebu. Zabił więc niewinnego nie w obronie praw swoich, nie wetując krzywdy żadnej, ale w zazdrośnym współubieganiu się o

chwałę, która mu się nie należała, i której mu Bóg nie przyznawał.

Wszystkie wojny i zajścia, czy to na drodze moralnej walki słowem lub piórem dokonane, czyli też w krwawém zapaśnictwie siłą miecza poparte, zawsze toż samo mają źródło, to jest: pychę zazdrośną, pychę chciwą, pychę podejrzliwą, pychę, przenikającą szpik kości ludzkich.

Dopóki jednak ten jad duchowy, wrabiający się w pasmo życia, uważanym jest w społeczeństwie jako grzech przeciwko Bogu, ludziom i przeznaczeniu człowieka, dopóty rośnie on obok innych cnót narodowych tak, jak rośnie grzyb wśród dębów, które go wspaniałością i wzrostem przewyższają. Ale kiedy pycha, zamieniona w system i obleczona w pewną formułę i społeczne godło, owładnie większość narodu, wtenczas następuje ferment, stan walki, wzburzenia a później rozkład i śmierć.

Ludziom się zdaje, iż pycha jest mocną, albo dodaje siły, i wielu kształci niemal w sobie pychę czyli tak nazwaną (uprzejmiej) *ambicyą*, w mniemaniu: że zyskują na potędze. Otóż tu jest wielki fałsz. Prawda, iż pycha znaczny ciężar podźwignie, ale go nigdy daleko nie zaniesie; lada wiatr ją przewróci i na pierwszej przeszkodzie utknie. Siła pychy jest jak siła każdego fermentu, czyli zakisu; najprzód płyn zmacony wysoko podniesie, ale później, kiedy przyjdzie fermentacya octowa, płyn nazad opada, a wkrótce później nastąpi fermentacya zgniła, czyli psucie się zaczynu. Otóż pycha może wzburzyć, ale nie umie zwyciężyć, i nie umie nigdy sprawy poczętej na wysokości stanowiska pierwszego utrzymać. Kiedy się pycha nazywa grzecznie *ambicyą*, i kiedy się rozpięra na dyplomatyczném krześle, albo zamieszkuje stare zamczyska i pałace, które czas oszczędził, wtenczas jest

szkodliwą, gwałtowną i czasem zabójczą, ale mniej obmierzłą. Lecz kiedy ta sama pycha, obwalana błotem ulicznym, potrząsa łaclmanami i grozi przerażonemu światu spustoszeniem, mordem i łupieństwem, wtenczas przybiera taki wyraz dzikości i barbarzyństwa, iż nie tylko wywołuje najwyższy wstręt, ale razem takiej wzdąrdy jest godną, na jaką tylko serce uczciwych ludzi zdobyć się może. Ten ferment uliczny, kipiący brudami miasta, z krwią ludzką zmieszany, jest obrazem piekła i jest też piekłem na ziemi.

Naturalnym często uczuciem w człowieku jest gniew i oburzenie, ale nienaturalnym uczuciem jest zawiść. Gniew często jest wyrazem obrażonej sprawiedliwości w człowieku lub w narodzie, jest dopomnieniem się groźnym o pogwałcone przez kogokolwiek prawa; i dla tego człowiek, zupełną zachowując godność a nawet miłość, gniewać się i oburzać może, wszakże pod żadnym względem ten gniew aż do zawiści przechodzić nie powinien. Gniew może połączyć się z pokorą, a zawiść tylko z pychą w parze chodzi. Gniew przypuszcza pojednanie, zawiść wywołuje zemstę i walczy do pierwszej śmierci. Że zaś granica między gniewem a zawiścią tak jest wąską, iż mało się kto spostrzeże, gdy ją przekracza, przeto Chrystus powiedział, iż dozwalać nie powinniśmy, aby słońce zaszło przed zgodą zwaśnionych. Czemże zaś właściwie jest zawiść? jest uporem w gniewie podsyconym i żywionym przez pychę.

Naród, w którego łono wciśnię się zawiść (rozdziałająca między sobą mieszkańców), i naród, który ją przyjmuje za podstawę i bodziec ku uskuteczniczeniu reform społecznych: naród mówię taki, choćby miał rząd swój, wojsko własne, fortece i skarby, istnieć mimo tego nie może,

bo serce jego rak wewnętrzny toczy, a piers jego ogniem trawiącej gorączki płonie.

Całość jest w jedności, a jedność w harmonii; ta ostatnia przy zawiści ostać się nie może, a więc naród, który jej ulega, trawi się własną trucizną i umierać musi.

Trzecia przeszkoda, tamująca rozwijanie się pokoju, czyli życia wedle harmonii urządzonego, jest *fałsz*. Fałsz mówiny, czyli *kłamstwo*, gdziekolwiek się ono objawia, czy u góry czy u dołu, czy w sprawach prywatnych czy w publicznych, czy w słowie czyli w czynie, fałsz u góry nazwany zręcznością dyplomatyczną, u dołu oszustwem, w salonie nieszczerą uprzejmością, w religii hipokryzyą, w stosunkach prywatnych obłudą, w filozofii sofizmem; fałsz wszędzie jeden w mniejszej lub większej potędze, rozrywa, dzieli, mąci i wywołuje koniecznie wzburzenie, zamieszanie i walkę. *Prawda* jest jedna i dwu prawd być nie może; ale fałsz jest tak rozmaity, iż gdyby się ludzie nawet na fałsz zgodzić chcieli, to moralnie i materialnie nie potrafia; albowiem wybór między niezliczonymi odcieniami fałszu staje się dla nich prawie niepodobnym. Społeczeństwo jest jak koncert złożony z doboru rozmaitych instrumentów, na jeden ton nastrójonych, i wtenczas stanowi harmonia, kiedy te różne narzędzia muzyczne, mniejsze i większe, głośnie i ciche, w jednym tonie i wedle jednakowego czasomiaru czyli taktu w ruch są wprawione. Niechże teraz kilka instrumentów wśród zgodnej melodyi fałszem zabrzączy, a co gorzej jeszcze, niech wszystkie z innego tonu i w rozmaitych taktach choćby najpiękniejsze odgrywały melodye, to nikt nie będzie zdolny wytrwać w słuchaniu takiego koncertu.

Fałsz, nadużywając dobrej wiary drugiego, jest największą obrazą jego ducha; dla tego cierpka prawda tyle



nie budzi w sercu bliźniego zawiści, ile fałsz i kłamstwo w zdradliwej nie raz formie uprzejmości i życzliwości podane. Wszelką obrazę prędkiej się wybacza jak zdradę i podejście, bo rzecz dziwna: iż ludzie, mimo, że się prawdą nie rządzą, to przecież tak się o nią u drugich dopominają, iż dla nich obraza prawdy staje się osobistą obrazą, a zdradzony nigdy tej krzywdy nie zapomnie. Słowem, fałsz czyli kłamstwo jest jakby zwodziciel wabiący ludzi na bezdroża i jest jak pokusa, która pierwszy wyzew daje ku niezgodzie i walce. Jak zaś fałsz jest rzeczą szkaradną, z tego się każdy przekona, iż nikt się do niego przyznać nie chce, lecz każdy kłamstwo własne *prawdą* rad nazywa i jako taką drugim podaje. Gdzież więc jest owa prawda nieomylna i stanowiąca zakład pokoju, prawda, przeciwko której ani pycha ani zawiść ludzka podnieść się nie zdoła? Ta prawda jest tylko w Bogu i w ustawodawstwie Bożem, i w porządku społecznym na prawie Chrystusa osnutym. Wszystko, co się na tej prawdzie gruntuje i z tej prawdy płynie, jest nieomylnem; wszystko, co mu się sprzeciwia, jest fałszem. Któż zaś jest podawcą tej prawdy? śmiało i stanowczo odpowiadamy: jeden tylko kościół, który objawioną prawdę Bożą bezpośrednio od Boga samego słyszał, przyjął i przywilej ogłoszenia, wyjaśnienia, zastosowania i przechowania onej z rąk Bożych odebrał. Niechaj więc kłamstwo napróżno się nie chełpi, iż wynalazło inne źródło prawdy, czyto przy kościele, czyli obok kościoła lub ponad kościołem. Bóg ani dwu prawd, ani dwu źródeł prawdy nie zostawił.

„Środkiem uzyskania pokoju (mówią niektórzy) jest walka.“ Zapewne, ale walka z fałszem a nie walka dwu lub więcej fałszów między sobą. Walka cnoty z grze-

chem, ale nie zazdrosne zapaśnictwo dwu grzechów, wspólnie się o panowanie nad prawdą dobijających. Wreszcie wyrażenie ewangeliczne o „*walce* i o *mieczu*“ nie stosuje się ani do wojny ani do rewolucyi społecznej, ale raczej do owej walki wewnętrznej, którą człowiek sam z sobą i w sobie odbywać musi, aby prawdzie Bożej we własnym sercu zapewnić zwycięstwo. Pogańska rada opiewa: „ *iż naród, który pragnie pokoju, winien się gotować do wojny,*“ a to zdanie rządzi światem i wszyscy wyteżyli łuki, a w serca ku sobie mierząc, pragną szukać pokoju w śmierci. Tymczasem, nie w śmierci ale w życiu jest pokój, i ten tylko znajdzie zwycięstwo, kto przede wszystkiem szuka pokoju.

Trzy zaś są warunki pokoju: *miłość, pokora i cierpliwość*. Miłość, płynąca z wiary, to jest w Bogu poczęta a w świecie żyjąca; miłość, która jak promień zstępuje z góry na ziemię i zagrzewa ją, upładnia i zarówno udziela się cedrom Libanu jak i najmniejszej trawce wśród puszczy wyrosłej. Miłość niewyczerpana jak jej źródło w Bogu, a święta i czysta jak jej niebiańskie pochodzenie. Tę miłość chcieli przezwąć w tym wieku arystokraci *miłosierdziem* a demokraci *braterstwem*. Pierwsi nie rozumieją miłości po za materyalną jałmużną, a drudzy nie rozumieją jej po za równością majątkową. Pierwsi dając nie kochają, drudzy biorąc nie proszą ani dziękują. Pierwsi pogardzają, drudzy nienawidzą, a jedni jak i drudzy są przeczeniem miłości, i oddalają coraz więcej Boga, szczęście i pokój od społeczeństwa. Że się arystokracja do braterstwa demokratów przyznać nie chce, to nie dziwne: bo każdyby się takiego brata wyrzekł, który ostrzy miecz na cudze gardło a zazdrosnym okiem spogląda na cudzą własność. Że się zaś demokracja upamiętać nie

może i nie chce, ale surowo sędzi wyższe stanowiska, to i to nie dziw: bo te wyższe warstwy społeczeństwa w zaklętém uwiązły kole zbytków, samolubstwa, pychy i próżniactwa, wydają się jakby stojące bagna, przez które woda nie przepływa, ale w których gnije wiekowy już namuł. Te dwie warstwy ludzi porównałby się dały do dwu przedchrześcijańskich społeczeństw: *Żydów* i *pogan*. Bo w istocie tak nazwana arystokracja dzisiejsza, nie licząc w to szlachetnych wyjątków, odziedziczyła wszystkie wady starozakonnych, to jest: upor, pychę rodową, wzgardę dla innych, przestrzeganie form a niechęć przejęcia się duchem praw Bożych i kościoła; kiedy przeciwnie demokracja odziedziczyła pogańską dzikość, duch buntu plebejuszowskiego i ten brak poszanowania dla wszelkiej władzy, oraz dla życia, sławy i własności cudzej. Przypatrzwszy się społeczeństwu dzisiejszemu od góry aż na dół, zdawałoby się, iż łaska odkupienia spłynęła tylko po wierzchu sumień, ale nie weszła w duchowy organizm życia ludzkiego. Zdawałoby się, iż mimo piętna synów Bożych, które odebraliśmy, nie między nami a Chrystusem niema wspólnego. Prawda, iż większość wierzy w Chrystusa *w niebie*, ale w to nie wierzy, iż mamy obowiązek żyć wedle Chrystusa na ziemi; bo gdyby wierzyła, toby żyła po chrześcijańsku a nie po żydowsku lub pogańsku. Czyliżby duch miłości dopuścił, aby dwa fałszywe arystokracji i demokracji dzieliły społeczeństwo, które ma wspólny cel życia, i które wzajemnie pracować i zbawiać się jest przeznaczone? Miłość przypuszcza hierarchią, przypuszcza *podziały*, ale nie przypuszcza *rozdziatu*. Widzimy też, że w rodzinie jest hierarchia i podział na osobowość a przecież nie ma rozdziatu. Jeżeli więc krew w taką jedność rodzinę splata, o ileż więcej duch miło-

ści w Bogu poczetej łączyć ludzi powinien! Lecz miłość w tym wieku stała się niemal czczym wyrazem; filozofowie i politycy chcą poprawić Boga i niemal z szeregu przymiotów ducha ludzkiego tę cnotę zasadniczą wykreślili. *Ludzie miłością rządzić się nie mogą*, mówią oni, *i jedynym węzłem stosunków jest interes, jedynym prawidłem jest rozum, a jedynym prawem jest siła*. Te trzy wyrazy: *interes, rozum i siła*, utworzyły stan dzisiejszy, i z nich jakby ze zrównania matematycznego ostatni wypadek musi być koniecznie walka na śmierć.

Ojcowstwo w źródle prawdy, miłości i powagi początek biorące, w którym spoczywa rzeczywiście zasada wszelkiej władzy, począwszy od władzy Bożej aż do władzy ojca w rodzinie, zdawało się być przestarzałym i niestosownym godłem dla władz tegoczesnych. Odsyłano tę zasadę do czasów pasterskich, uważano ją za zbyt serdeczną, romantyczną, za zbyt naturalną i religijną. Powiadają: „iż w pierwszych wiekach istnienia narodów, w wiekach barbarzyństwa, władza patryarchalna wystarczała, ale dziś, w miarę oświaty i postępu, władza potrzebuje rządzić się rozumem i siłą.“⁴ Dziękujemy za takie czasy oświaty i postępu, w których tylko trwoga utrzymuje pokój, a siła bezpieczeństwo wzajemne zaręcza; prosimy zaś o zwrot tych czasów barbarzyństwa (o których tak pogardliwie wspominają politycy), w których miłość, starszeństwo i powaga ojcowska rządziły, i one wystarczały. Piękna mito oświata i szczęście z niej płynące, które doprowadziły nas do takiego stanu, iż tylko siłą bagnetów przez jakiś czas rządzić nami można!... Niech się napróżno nie kusi ani *braterstwo polityczne demokratów*, ani *zmarzła filantropia filozofów*, ani *zręczność dyplomatyczna polityków*, zastąpić miłość płynącą z Bo-

ga, płynącą z wiary; bo ich sztuczne środki oddalić tylko mogą na chwilę nieszczęście wiszące nad światem, ale złego nie naprawią, ani pokoju nie zaręczą. Sąto szkarpy, które trzymają budynek, w którym fundament został poderwanym, i które razem z nim runą.

Miłość, w prawie chrześcijańskim, nie jest ustawą dodatkową, ale jest podstawą wszelkiej innej ustawy. Nie tyczy się ona samych stosunków prywatnych, ale jest punktem wyjścia we wszelkich stosunkach ziemskich i stosunku ziemi z niebem. Roztropność ją urządza, ale jej nie wyłącza, ani jej nie zastąpi. Rozum jest jej towarzyszem, ale nie jest ani jej ojcem ani panem. Chcieć więc pokoju, zgody i harmonii a nie chcieć miłości, jest to żądać skutku bez przyczyny i chcieć jedności albo całości bez połączenia części. Rzecz dziwna: ludzie rozumieją przyjaźń, a nie rozumieją miłości. Dla czegożto? Oto, bo przyjaźń jest uczuciem (że tak powiemy) świeckim, ziemskim i naturalnym. Że zaś miłość ma swój początek wyższy, bo w Bogu, przeto ludzie ołowianej myśli tak wysoko sięgać nie chcą i wolą bez miłości cofać się do zwierzęcego stanu, jak przez miłość dążyć ku anieltwu. Wolą zabijać się po ludzku, jak żyć w pokoju po Bożemu. Dopóki więc miłość chrześcijańska nie odzyska panowania, dopóki wskrós nie przeniknie wszystkich ustaw, urządzeń i stosunków społecznych, dopóty mimo nazwy chrześcijańskiej życie nasze i obyczaje będą pogańskie, i dopóty prawo zwierzęce, prawo siły urządzać nas będzie; krew potokami popłynie i spustoszenie rozściele się po ziemi; albowiem Bóg nie piérwój uwolni ludzi od ofiary ciała, dopóki nie złożymy mu w zamian ofiary ducha w miłości dla bliźnich i w zamiłowaniu zasad pokoju.

Pokora jest zadatkami pokoju, gdy płynie z miłości w Bogu pojętej, a jest zadatkami niewoli i śmierci duchowej, jeżeli płynie z fałszu. W pierwszym wypadku nazywa się uległością i posłuszeństwem, a w drugim podłością, obłudą i pochlebstwem. Pokora w człowieku powinna być uczuciem naturalnym, bo ma źródło w nieodzownej zależności, w jakiej jest stworzenie od stworzyciela, czyli skutek od swęj przyczyny; a że władza Boga jest rzeczywistą i konieczną, przeto uległość, czyli pokora człowieka względem władzy Bożej, jest też konieczną i niezbędną. Bóg wszakże dla utrzymania harmonii i ładu między ludźmi upoważnia ramiona ludzkie do sprawowania swoich rządów, czyto w obrębie rodziny czyli też narodów, a przeto względem tych zastępców Bożych na ziemi winniśmy też samą uległość, jaka się Bogu od nas należy, albowiem w nich delegacją władzy Bożej szanujemy. Że zaś pokora względem Boga powinna być szczera i wypływać z miłości a być ofiarowaną w zupełnej wolności ducha, inaczej bowiem więcej Boga obraża aniżeli zniewala, przeto pokora względem tych, którym Pan Bóg władzę nad nami udzielił, powinna także nosić tę cechę prawdy, sumiennosci a razem godności chrześcijańskiej i wolności duchowej, która rozgranicza posłuszeństwo od służebnictwa i uległość od podłości. Nie ma cnoty na świecie, któraby mniej była zrozumianą w dzisiejszym wieku i mniej wypełnianą jak pokora. Skrzywiono zupełnie znaczenie tego wyrazu: bo tych nazywają pokornymi, którzy raczej są podłymi, to jest: którzy się płaszczą i kłaniają zarówno Bogu i szatanowi, chociaż Boga i szatana radziby oszukać i na własną korzyść ich siłę obrócić. Nazywają pokornymi ludzi, którzy się uniżają i pochlebiają, a mimo tego pychę i chciwość w sercu

noszą; kiedy przeciwnie pokora z samolubstwem, pychą i chciwością, z podłością i niewolnictwem nigdy w parze nie chodzi. Pokora bez wolności ducha i bez miłości jest coś tak obmierzłego, że Bóg i ludzie przekładają nad nią zuchwalstwo; albowiem podły niewolnik, oddając zwycięzcy i ducha swego, którego nikt w człowieku podbić nie może, staje się własnością rzeczową, lichym sprzętem na tandetę świata wystawionym. Taki rodzaj fałszywej pokory czyli raczej podłości nigdy pokoju dla świata nie zapewni, bo jest tylko pychą lub chciwością w barwę pokory astrojoną. Władza, czy to w rodzinie, lub też w narodzie, na taką pokorę liczyć nie może, ciągle obawia się zdrady, przedsięwzięć środki ostrożności i mniej czasem zuchwalstwem się trwoży aniżeli tą słodką uległością, która jak żmija pełza najniżej a przecież tajemny jad wyrabia. Pokora chrześcijańska jest to szczerze poddanie się woli Bożej, z zachowaniem wiary, miłości, nadziei, godności i wolności ducha. Jestto ów szczerzy hołd posłuszeństwa Bogu i jego prawu a razem ustawom ludzkim z prawa Bożego płynącym; jestto owo wewnętrzne zadowolenie z wszelkiego stanowiska, jakie Opatrzność w kombinacji towarzyskiego układu człowiekowi naznaczyła; jestto wreszcie owa zdolność szczerego, sumiennego zrównoważenia się ze wszystkimi innymi pozycjami w społeczeństwie, przez którą człowiek, odstępując dobrowolnie oceniania się własnego, sąd ten o sobie Bogu i bliźnim zostawia; czyli jedném słowem: *pokora* jestto zrzeczenie się miłości własnej na korzyść Boga i bliźnich. Taka pokora zaręczyć tylko pokój światu zdoła; bo jeżeli każdy zrobi ofiarę z miłości własnej dla bliźniego, a wszyscy razem poddadzą się prawu Bożemu, to jakież mógłby być powód do walki? Nie ma nikogo na świecie, któryby nie

przyznał, iż pokora jest warunkiem zgody, wolności i pokoju, ale mało kto o tém wie, że warunkiem pokory jest posłuszeństwo, i że bez niego pokora jest czerzym wyrazem. Nie trudno więc być *pokornym*, ale nader trudno być *posłusznym*, a przecież bez posłuszeństwa nie ma ani pokory, ani pokoju, ani szczęścia. Wyznać się kornym względem Boga, a być nieposłusznym jego prawu i jego rządowi, jestto stać w buncie przeciwko Bogu i wyznawaną cnotę czynem zaprzeczać. Nazywać się poddanym władzy (jakiegokolwiek na ziemi), a być jej nieposłusznym, knować spiski, pracować dla jej poniżenia, jest to obciążać własne sumienie tajemną zdradą i podstępny fałszem. Przyznawać bliźniemu zalety, przyznawać prawdę jego rad i uwag, być jego zdania, wchodzić w myśl jego, a przecież czynić przeciwnie i działać wspank uznanej prawdzie, jestto oszukiwać bliźniego udaniem przywołaniem i posłuszeństwem, czyli uwodzić go fałszywą pokorą. Pokora ustępuje, ale nie zawsze przyznaje, kiedy przeciwnie podłość przyznaje, a nie ustępuje. Od zrozumienia więc pokory, będącej zaprzeczeniem siebie dla Boga i dla bliźniego, zależy po większej części pokój między ludźmi, pokój narodów, pokój świata. Dzisiaj podłość i zuchwalstwo podzieliły między siebie nasze społeczeństwo. Olbrzymy się płaszczą, a karły na palcach wspięte nadymają. Lwy na służbie u lisów, a mały dumne zarlekińskiego stroju z wysokości wielbłądzich grzbietów (na które je sztukmistrz podrzucił) przejeżdżają się pełne dumy i pychy po ulicach stolic, i pogardliwie a nawet często i groźnie na tłum otaczający je spoglądają. Gdyby ta przemiana stanowisk nie była smutną i groźną rozkładem i upadkiem całego społeczeństwa, to byłaby na

chwile śmieszna i ciekawa, bo jest w istocie nadzwyczajnym zjawiskiem.

Trzecim warunkiem pokoju jest cierpliwość, która jest razem najsilniejszą bronią przeciwko napaści, nużąc wszelką siłę i moc w przeciwniku; sama zaś niezużyta coraz większej nabywa potęgi. Aby cierpliwość nie przybrała znamion obojętności, upodlenia i niewolnictwa, musi wypływać z miłości i pokory, i mieć za nierozłączną towarzyszkę uczucie godności. Tak pojęta cierpliwość jest jakby skała, o którą się rozbijają wszystkie nawałności, i ona też będąc głównym warunkiem pokoju zwykle uprzedza waśń, nie dopuszcza walki, a wszczętą rozbija. Nie małeto jednak zadanie dla człowieka i dla narodu umieć z godnością cierpieć i wśród cierpienia zachować miłość i pogodę umysłu. Trzeba w wyższej prawdzie szukać siły usposabiającej serca do tej bezbronnej walki z prześladowaniem; trzeba wierzyć, iż Bóg nie zemście ale cierpliwości zaręcza ostateczne zwycięstwo, aby znieść napaść bez odwetu i cierpieć bez upodlenia. A przecież tysiączne mamy dowody, iż nic się tak prędko nie zmęczy jak ręka, która chłoscze cierpliwego, i nic się tak rychło nie przytępi jak miecz, który go kalęczy. Ciało cierpliwego odbiera hart żelazu, a pogodne spojrzenie umiejącego znosić boleść i prześladowanie miesza dziki wzrok zawistnych nieprzyjaciół. Człowiek cierpliwy wnosi z sobą pokój do każdego domu, naród cierpliwy uśmierza namiętności wojenne, lub staje się rozjemcą między walczącymi. Ale co więcej, naród cierpliwy zwycięża bez walki i wzbogaca się łupem walczących, bo *ziemia obiecaną mu jest w nagrodę* według wyrażenia pisma: „błogosławieni ciszy, albowiem oni odziedziczą ziemię“ (Mateusz roz. V. w. 4).

Stosując to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli o wojnie i pokoju, do ojczyzny naszej, o której się zawsze myśli i dla której najpierwsze po Bogu mamy obowiązki, zrobić koniecznie musimy spostrzeżenie, iż Polska, od jakiegoś czasu na przekor niemal Opatrzności i własnemu interesowi, nie umie użytecznie swego położenia i miłosierdzie Boże od siebie oddała. Jój stan dzisiejszy przywodzi nam na pamięć ową chwilę, kiedy w podłe krzyża Chrystusowego powieszono dwu winowajców. Jeden z nich, złorzecząc, ciągle się szarpał na krzyżu i ostatek sił zużywał, aby się od niego oderwać; drugi, cierpliwie znosząc karę, spojrział z miłością na Chrystusa i prosił go o litość nad sobą. Piérwszy, został potępionym; drugi, cierpliwy, zbawienie pozyskał, i cały świat chrześcijański dotąd wspomina go ze czcią i zbudowaniem. Tak téż i w społeczeństwie Polskiem jedni gotują zbawienie przez cierpliwość, drudzy śmierć sobie i krajowi gotują, bluźniąc na krzyżu i szarpiąc własne ciało w bezsilnym odporze. Gdybyśmy byli przez całe stulecie niewoli naszej wyrabiali się w pokoju i cierpliwości do życia doskonalszego, to już niezawodnie cnoty nasze i cierpliwość nasza byłyby zwyciężyły złe, pod którym dzisiaj jęczymy, i wszystkie narody chórem (a szczególnie plemiona pobratymcze) byłyby za Chrystusem powtórzyły: „błogosławieni Polacy pokój czyniący między nami.“ Świat zbudowany byłby w nas uczcił męczeństwo, kiedy dzisiaj urąga się bezsilnym naszym zamachom; byłby nam przyznał przymioty wielkości duchowej, kiedy dzisiaj podziwiał w nas tylko zwierzęcą odwagę. Zapewne, że ofiara krwi i majątków nie jest ani łatwą, ani bez wartości; lecz po narodzie Polskim żąda Bóg więcej, to jest: ofiary ducha, wyższej nad poświęcenie krwi i złota. Gdyby ta ofiara, którą składamy,

była dostateczną i miłą Bogu, toby już była dawno okupiła doczesne zbawienie narodu, bo któż więcej od nas tej krwi przelał, i któż szlachetniej od Polaków majątek dla kraju poświęcić umie? Ale właśnie, że ta ofiara mało nas kosztuje, i że krwią szafujemy jak wodą, a złotem jak rzeczonym zwirem, dla tego ją Pan Bóg za mniejszą cenę na wykup od nas przyjmuje. Bogaty tysiące składać musi należnego haraczu tam, gdzie ubogi groszem się okupuje; dla tego i od Polaków (bogatyh w wyższą łaskę Bożą) dopomina się Bóg także wyższej ofiary. Naród nasz nosi w duszy, tak z przeszłości i pierwiastkowego zarodu jako i z przyrodzonych i nadprzyrodzonych przymiotów, najbliższy zarys królestwa Bożego i nie ma może na całej kuli ziemskiej ludu, któryby bliżej i jaśniej ducha praw Bożych pojmował, a któreinuby łatwiej przyszło wprowadzić w życie doskonałość ustaw chrześciańskich. Ale właśnie dla tego, iż naród ma poczucie rzeczy wyższych i królestwa Chrystusowego, a od niego na przekor się oddała, dla tego: męką, pracą i upokorzeniem, dociska go Bóg, dopóki nie spełni w czynie rzeczy ducha swego, i nie odpowie łasce i czystym natchnieniom, które z nieba odbiera.

My idąc za krewkością naszą ciągle gotowaliśmy się i gotujemy do walki, a ciągle Chrystus zdaje się przemawiać do nas jak do Piotra: „iż kto wojuje mieczem, od miecza zginie.“ Ciągłe siejemy krew naszą, a zbieramy łzy, żałobę i plon coraz srozszej niewoli. Coraz słabsi, a coraz więcej zuchwali, chcemy przemódz Pana Boga, i zamiary jego wedle myśli naszych skierować. Nie uniemy ani żyć w zgodzie i pracować w pokoju, ani dać go drugim, ani sobie go zapewnić, lecz w oczekiwaniu wojny nic pożytecznego dla ojczyzny naszej nie czyniąc, jesteśmy

jakby w obcym kraju i pod namiotami rozłożeni, nadślu-
chujemy tylko głosu pobudki, któraby nas znów do śmierci
a nie do życia prowadziła. W istocie, taka gotowość do
poświęcenia się za myśl wielką, bo za myśl wolności oj-
czyzny, ma urok niezaprzeczony, który błędy nawet sa-
me w świątną odzięwa szatę; ale skoro nam nie tylko
o czyn waleczny i piękny ale więcej jeszcze o dobro
ojczyzny i o jej pożytek chodzić powinno, przeto nie samą
odwagą się popisywać, ale rządzić się nam statkiem i roz-
sądkiem należy.

Naród i narodowość nie w sile fizycznej i nie w o-
rężu źródło biorą, ani też mieczem nikt narodowości nie
stworzył, i onęj nie przemazał; narodowość ma źródło w re-
ligii, mowie ojczystej, ustawach towarzyskich i obyczaju, a
należy raczej do porządku moralnego. Strzedz jej przeto na-
leży w świątyni ducha własnego, w świątyni rodziny, w kole
towarzyskiem, a co najwięcej w kościele, również jak i
w szkołach i w literaturze; tak zaś strzeżony skarb naro-
dowości bezpiecznym będzie od nieprzyjaznych wpływów i
napaści. Do tej pracy ważnej, koniecznej i świętej, nie po-
trzebujemy wojny, ani mieczem onęj nie przeprowadzimy,
ale owszem: na koniecznybyśmy ją szwank narazili, kładąc
na szalę wątpliwego zwycięztwa ostatnie swobody, które
nam ku rozwijaniu narodowości posługują. W pokoju roś-
nie i rozwija się to wielkie duchowe i plemienne drzewo
narodowości, wrasta w swoją posadę, piętrzy coraz wy-
żej ku niebu, nabiera siły, i kiedyś staje w całej wspa-
niałości, a nawet groźnej na zewnątrz postaci.

Ileż to sił, poświęceń, krwi, czasu i majątków zmar-
nowała Polska na bezowocne wysiłki w nierównej i nie-
możliwej walce? ileż zmitrężyła chwil na oczekiwaniu
zawodnych wypadków? Gdyby przez ten długi przeciąg

czasu wewnątrznie się była kształciła, to z pewnością nie byłaby zewnątrz szukała tego, co w sobie samej byłaby znalazła.

Z założonemi rękami, z zaniedbaniem najbliższych obowiązków, nudząc sobą, próżnując i poziwając, patrzyliśmy to na wschód, to na zachód, azaliż kto za nas sprawy naszej nie dokona. W stanie ciągłej drażliwości, gorączki i niecierpliwości, przeżyliśmy dni nasze, bez pożytku dla kraju, bez korzyści dla nas, bez przyrobku dla pokoleń, bez czci dla przeszłości. Bo w rzeczy samej, zatarliśmy podania z przeszłości, nie przygotowaliśmy nic na przyszłość i biedziemy się w terażniejszości.

W następnych rozdziałach ośmielę się podać niektóre myśli co do środków zaradczych, i wytłumaczę: jakie jest dzisiaj stanowisko Polski rozbrojonej, a teraz tym zakończę: iż ani siła Polski, ani jej posłannictwo, ani jej zbawienie nie spoczywa już w mieczu i zemście. Powtóre, iż myśl zachodnia, która Polskę ciągle do nowych prób i wysień powołuje, jest dla niej zabójczą, przeciwną jej narodowości, jej przeznaczeniu i jej szczęściu. W końcu starać się będę podać niektóre pomysły, oparte na duchu praw ewangelicznych, które dotąd może uszły bacznosci wielkiej liczby moich czytelników, a które tym mniej w życie wprowadzone u nas były. Zacznę jednak od przekonania współrodaków o moralnej i fizycznej niemożności wystąpienia dziś z orężem w rękę, i to będzie przedmiotem rozdziału następnego.

O stanie dzisiejszym naszego kraju pod względem usposobień rewolucyjnych.

Stronnicy ruchu, pokładający swe nadzieje w wewnętrznej rewolucyi lub wojnie, obliczają zawsze na miliony *lud*, który ma im posłużyć do wywalczenia politycznej kraju niepodległości; tym zaś ideałem upojeni łudzą siebie, zwodzą drugich i próżno grożą światu. Zdaje się im, że wszyscy w Polsce są przygotowani iść za ich wezwaniem, i że każdy wypowie od razu posłuszeństwo istniejącej władzy, porzuci rodzinę, dom, i poświęci zdrowie a życie dla niepodległości, obiecaną manifestem ludzi nieznanym ani z urzędu, ani z imienia, ani z czynów. Błąd ten (za nadto często powtarzany) objawiał się w różnych pismach, odezwach i mowach, powołujących Polskę do nowych a nieobliczonych ofiar, abyśmy nie czuli obowiązku przekonać czytelników naszych, iż Polska nie jest dzisiaj ani w usposobieniu moralnym, ani w fizycznej możności wystąpienia do walki, i że powoływanie się na *lud* jest albo skutkiem grubiej niezajomości stosunków krajowych, lub też rozmyślnym fałszem, użytym ku wciągnięciu i skuszeniu łatwowiernej części społeczeństwa do nowej a szkodliwej zawieruchy.

Mówię: iż *Polska nie jest w usposobieniu moralnym*, bo patrzę na Polskę całą a nie na pojedyncze (tu i ówdzie rozsiane) indywidua. Nie nazywam też *ludem Polskim* tej tylko ruchliwej części społeczeństwa, która bujnością brzęczy po ulicach, ale tą nazwą obejmuję *wszystkich ludzi naród składających*, poczynając od możniejszych rodzin Polskich aż do najuboższego wyrobnika, w mieście lub na wsi zamieszkałego.

Czyniąc zatem sumienny przegląd dzisiejszych usposobień narodu, dostrzeżemy: iż mała tylko cząstka społeczeństwa życzyłoby sobie mogła zmian politycznych na drodze rewolucyjnej lub wojny, a ta jeszcze dla braku powagi i wziętości, a co więcej, w skutku straconego w całym narodzie kredytu, żadnegoby ogólnego ruchu za sobą pociągnąć nie zdołała. Dawniej, póki była jakaś w narodzie hierarchia, czyli to na świetności rodu i zasług, czy na zamożności albo urzędzie, czyli téż w końcu na powadze wieku oparta, i póki było względne dla starszeństwa i zwiérzchności poszanowanie, dopóty całe społeczeństwo stanowiło od góry aż na dół pewien łańcuch złożony z ogniw mniejszych lub większych, ale wzajemnie od siebie zawisłych i społeczną jedność stanowiących. Wtenczas w kilku ludziach środkowało się zaufanie powszechne, i duch się z góry na dół rozplýwał przez pośrednictwo szlachty, biorącój ruch od głównego kieratu, a rozdającój go w trybowym porządku mniejszym kółkom narodowego mechanizmu. Wtenczas, mówimy, powoływali do czynu starsi, mędrsi i zasłużeńsi w narodzie (mężowie znani i poważani w ojczyźnie), a na ich głos rozruszana szlachta, obwijając się w koło (jakby litym pasem) towarzyszącami, ochotnikami i dzielną pomocą przychylnych wieśniaków, wydobywała niemal z pod ziemi owe zastępy rycérzy, którzy ku potrzebie ojczyzny zawczasu pałasz na pługu ostrzyli.

Dzisiaj cały ten porządek został rozwiązany i z gruntu przewróconym; albowiem między zamożniejszą szlachtą a uboższą, i między tą ostatnią a ludem wiejskim, otworzyła się przepaść wzajemnej nieufności, podejrzliwości a nawet i niechęci. Obok tego nadrosła świeżo w narodzie jakaś warstwa *luźnych obywateli*,

którzy wprowadzić nie mają dotąd wyraźnego przeznaczenia, ale którzy bardziej i głośniej od wszystkich przemawiają i nie piastując ani władzy, ani urzędu, innym przewodzić pragną, a węzeł najważniejszych zadań politycznych stanowczo przecinać kuszą się. Ci ludzie, którzy nie wyszli z żadnej przeszłości, a nie znajdą też (drogami przez nich obranemi) do żadnej przyszłości, są w dzisiejszym położeniu wielką przeszkodą do jakiegokolwiek towarzyskiej organizacji. Stanowią oni element przeczący w narodzie, i suszą pień polskiego życia, i zardoszczą drugim wzrostu, chociaż sami w rodzajną dla ojczyzny gałąź nie wyrastają. Walczą z przywilejami a onych w duszy pragną, przyznają się do ludu a przecież ani pracy ani ciężarów ludu podzielać nie chcą; a tak gniewając się na bogatszych i pochlebając uboższym, stają w pośrodku obudwu; nie, aby ich pojednać i zbliżyć, ale iżby rozdzielić i żyć kosztem tego nieszczęśliwego rozbratu.

W takim położeniu rzeczy któżby dzisiaj w Polsce miał ochotę i odwagę początkować ruch wojenny? i któżby nawet znalazł się moralnie usposobionym stawić czoło nie tylko zewnętrznym trudnościom, ale co więcej, wewnętrznym przeszkodom?

Bogatsza szlachta, owa nieliczna już reszta naszych magnatów, nie odważy się na ten krok rozpaczliwy, bo nie ma żadnego punktu oparcia w narodzie, i nie wyrasta już z jednolitego ciała rycerskiego, którego niegdys była ozdobą i wieńcem. Sama się ona od pnia swego odrywać zaczęła, aż ją potem do reszty zawieruchy polityczne z wierchołka strąciły. Dzisiaj piętrzy ona gdzieś gdzie jak mogiła na równinie, która przypomina dawne życie, ale sama nie ma życia i dać go innym nie może.

A wreszcie pomiędzy tylą imionami, które nam dzieje nasze tak zaszczytnie przekazały, ileż zrobiło się już dezercyj do obcych obozów!! Ileż się to rodzin znakomitych wynarodowiło? Te zaś, które wiernie przy ojczystym sztandarze stoją i sławę rodu życiem poświęconém i cnotliwém usprawiedliwiają, gdzież dzisiaj zaczerpną siły ku przeprowadzeniu szlachetnych dla kraju zamiarów? któż im poda rękę? Szlachcic nie chce; albowiem zrażony odstępstwem niektórych, składa winę na wszystkich, i zaufania im swego odmawia. A nadto szlachta średnia rada się z tego chełpi, iż z pod władzy panów wyszła, i z nimi się równać może. Z drugiej zaś strony; chociażby się i zbliżyć chciała, to w grzecznej na opinią *luźnych obywateli* oględności razem z nimi potępia wszelką wyższość, a to w nadziei, iż na możnych wspólne winy złożywszy, siebie od skutków politycznej burzy zabezpieczy. Kilka więc świetnych jeszcze u nas rodzin, chociaż nową nadzieją dla kraju w synach pełnych cnot zabłysło, dzisiaj już nie ześrodkować i żadnej siły utworzyć nie mogą, ale jako dziedzice nieprzychylnych wspomnień wykluczone są z ogólnego działania, lub jako ofiary uprzedzeń, zazdrości i skrzywionych w polityce wyobrażeń stoją na boku, omijane przez społeczeństwo, które ich potępia, bo ich nie poznało, i nigdy się do nich sercem nie zbliżyło.

Średnia szlachta przechowała w istocie najwięcej rycerskiej butności, wszakże podzielona w myślach i na szerokiej przestrzeni rozproszona żadnego niema węzła, a z masą ludu nie łącząc się już ani wiarą, ani celem politycznym, ani interesem materialnym, żadnej też nie ma siły. Są to ziarnka prochu na marmurowej posadzce rozsiane, w których skład wewnętrzny chociaż siarka i sa-

letra wchodzi, to przecież dla braku skupienia ani ciężaru dźwignąć, ani do celu trafić, ani pokładu, na którym się opiera, zapalić nie może.

Szlachta, mówimy, acz w kraju stanowi główny zapas Polskich rycerzy, to przecież nie stanowi już *rycérstwa*, bo pod tą zbiorową nazwą rozumimy ciało mające spójność organiczną i solidarne obowiązki. Tymczasem szlachta przestała być w narodzie *stanem* czyli *ciałem*, ale za cały przymiot posiada tylko pewną *gatunkowość*, która ją różni od innych warstw społeczeństwa, ale nie daje jej siły wywierania na nie przeważnego wpływu. I dla tego, wpa-trzywszy się w stanowisko dzisiejsze szlachty, dostrzeżemy, iż ona stoi sama i wewnątrz podzielona w pośrodku dwu żywiołów, nie mogących zlać się z nią w jedność narodową. Stoi, mówimy, między możnymi panami, którzy przekroczywszy w wielu wyobrażeniach ściśle granice Polskiej narodowości są już niemal *europczykami* albo *kosmopolitami*, a z drugiej strony pomiędzy ludem wieśniaczym, którego pojęcia o ojczyźnie nie przechodzą granic dziedzicznej zagrody lub (co najwięcej) wioski rodzinnej. Zładto szlachta ściśnięta z góry i z dołu przez dwie siły utrudniające jej ruch polityczny, ani wzwyż rosnać, ani w głębsz korzenie się i rozwijać nie może. Dodać tu potrzeba, iż stojąc w rozwodzie z możnymi panami, straciła również naturalne do wyższych władz pośrednictwo, i pozbawiona przeważnej u rządów reprezentacyi, skargi nawet skutecznej podnieść nie jest w stanie. Otóż pomimo rycérskiego dueha i gotowości do poświęceń, i usposobienia do ruchów odważnych i rozpaczliwych, wyrzec się szlachta na teraz musi przedsięwziąć, któreby jej ostateczny cios śmierci zadały. Wreszcie odbyła ona w tych latach taką szkołę doświadczenia, iż lekkomyślnie

do dawnych złudzeń nie powróci. Widzieliśmy, jak szukając w sprawie narodowej czynnego sojusznika, zbliżyła się w chwilach rozpacz do społeczeństwa *luźnych obywateli*. Był to krok największego z jej strony poświęcenia; albowiem wyrzekła się niemal siebie samej, swęj przeszłości i przyszłości oraz familijnych wspomnień; słowem wszystkiego, coby jej mogło w narodzie pierwszeństwo zapewniać, a szukała tylko powszechnej swobody i ogólnego dobra, które jej obiecywano. Ale jakże nieszczęśliwy zawód rozczarował jej nadzieje! Nowy sojusznik rewolucyjny zniżył ją, zbezczescił i pomiotł w kałużę, a później zubożoną, osieroconą i bezsilną na pastwę rządowej zemsty i chciwości dzikiego tłumu zostawił. Lecz gdyby i te ofiary dla narodowej poniosła myśli, gdyby kosztem własnego upadku chociaż część Polskiego ludu moralnie i materialnie z przepaści dźwignęła, toby jej żal nie było majątków, życia i praw utraconych. Ale inaczej się stało, lud ofiarę jej ze wzgardą odepchnął, a sam niżej o kilka kroków zstąpił w niechęci dla Polski, w zazdrości posiadania i w dzikim łupie i krwi pragnieniu. Lud się nie podniósł ale upadł tak, jak upada młodź leśna pod zwaliskami starego dębu. Szlachta więc dzisiaj poznała zdrajcę w wolnomyślnym swoim sojuszniku i drugi raz ręki mu nie poda, ani się pozwoli wplątać w dogodną jego celom zawieruchę.

O nielicznym stanie mieszczańskim mało co mamy do powiedzenia; albowiem on zawsze ze szlachtą dzielił jedne losy i moralne usposobienia: wpadał we wspólne błędy, niósł równe poświęcenie, i razem z nią, dawszy się w ostatnich latach uwieść rewolucyjnym teoryom, przypłacił tę łatwowierność więzieniem, ubóstwem i utratą reszty swobod. Dodać tu wszakże powinniśmy, iż warstwa

napływowa cudzoziemskich przekupniów (która coraz więcej miasta Polskie zamula), utrudniwszy o wiele rewolucyjne poruszenia, stanowić będzie nadal wstrętny żywioł, który nie tak łatwo dałby się zwyciężyć.

Pozostaje nam w końcu do zbadania usposobienie ludu wiejskiego, *owego ludu*, mówimy, do którego się zawsze odwoływało stronnictwo ruchu, i na jego poświęcenia liczyło, a który przecież pokazał się tyle nieprzychylnym wszelkiej myśli rewolucyjnej, mającej na celu Polską narodowość i powrót do dawniej kraju niepodległości. Zanim jednak tę kwestyą rozbierzemy, zastanówić nam się wypada nad naturą wieśniaków Polskich, i nad ich moralnymi pojęciami o ojczyźnie i o władzy.

Część ludu Polskiego najliczniejsza, rolnicza, prosta, pracowita i uboga, a od wszelkich źródeł wykształcenia się umysłowego oddalona, rządziła się od najdawniejszych czasów *wiarą i przeczuciem*, a wedle prawideł objawionego i przyrodzonego prawa urządziła sumienie, i tworzyła u siebie sąd o wszelkich stosunkach i wypadkach.

Wieśniak Polski nie rozumował ale wierzył; nie rządził i nie rządził ale słuchał i wypełniał dane mu z góry rozkazy. Jako dziecko wiary, a nie wychowanek szkół i doktryn, nie wyrobił w sobie zdolności rozbiorowej a tém mniej negacyjnej, lecz umacniał się w poczuciu obowiązków i w posłuszeństwie dla władz istniejących. Łatwo sobie więc wytłumaczyć, dla czego umiał on od tylu wieków znosić uciążliwe położenie z cierpliwością, jakiej przykłady w życiu tylko świętych napotyamy.

Trzy główne cnoty płynące z wiary stanowiły podstawę moralnych ludu usposobień, a temi były: *prostota, pokora i posłuszeństwo*; lecz te właśnie dla braku stosownego rozwinięcia wyrodziły się później w trzy wady:

cudzoziemca, i jak po dziś dzień nie ma wyobrażenia o korzyściach, jakieby z niepodległości kraju na niego spły-
nęły. Owszem myśli, iż rząd obcy, żadnymi stosunkami
z szlachtą niezwiązany, sprawiedliwszym będzie rozjemcą
między nim a panem, aniżeli rząd Polski czyli narodowy
z łona téjże szlachty wychodzący. Tradycyjne wspomnie-
nia mało mu téż utęskniać za rządem Polskim każą, a
raczej nasuwają pamięci przysłowie tak dobrze bezkarność
dawnych panów malujące: *Czyja sprawa? pana wójta; kto ją sądzi? pan wójt.* Z tych więc powodów wszelki
bunt panów przeciwko wyższej władzy albo *urzędowi*
kładli wieśniacy na karb utajonych szlachty zamiarów
ku odzyskaniu nad ludem sobie poddanym samowolnego
i nieograniczonego panowania, i każdemu takiemu bun-
towi wprost przeciwnymi byli.

Jak dalece zaś lud wiejski nie liczył się do narodu,
ale od władzy ciągnął swoje pochodzenie, jasny mamy
dowód, iż na zapytanie zkądby był, nie odpowiadał wie-
śniak, że z Polski albo z Galicyi, ale „z pod Cesarza i
z pod pana N., lub téż z pod Prusaka, że wsi tego lub
owego dziedzica.“ Coż on więc przez *Polskę* dobijającą
się swęj niepodległości rozumiał? Oto nie więcej, jak
tylko szlachecką opozycją przeciwko istniejącej władzy;
a pod nazwą *Polaka* pojmował szlachcica zazdroszczą-
cego téjże władzy.

W takim stanie rzeczy propaganda rewolucyjna, szé-
rzona w imie narodowości albo téż w imie buntu prze-
ciw najwyższej władzy, żadnego u ludu znaleźć nie mo-
gła współczucia. Jak odrzucił lud przed trzema wiekami
bunt wywołany przeciw kościołowi (w protestantyzmie,
który zarażał szlachtę), tak téż odrzucił również myśl
buntu przeciw istniejącym władzom; w piérwszym bowiem

jak i w drugim razie widział lud *negacyą* przeciwną duchowemu swojemu usposobieniu, wiekowej swęj tradycyi i nawykniom do posłuszeństwa i uszanowania zwierzchności.

Propaganda liberalna w ostatnich latach nie rozumiała tego usposobienia ludu wiejskiego, i wmawiała w niego uczucia, których on nie miał, a sumieniowi jego zadawała gwałt, który się później przeciwko niej samęj obrócił. Niszcząc w ludzie uczucie posłuszeństwa dla najwyższej władzy krajowej, podkopywała zasadę własnego nad nim zwierzchnictwa, i wpadła w dół, który dla kogo innego gotowała. Smutne zaś owoce tego błędu do dzisiaj oplakujemy, i nigdy onych dosyć Polska nie odżałuje. Oprócz tego grzeszyli reformatorowie polityczni fałszem i śmiesznością pod względem używanych ku propagandzie środków, które też utwierdzały lud w mniemaniu, iż go szlachta chce oszukać. Ze szczytu pychy, samowolności a często i oburzających nadużyć (któręmi się szlachta ludowi narażała), skoczyła raptem w drugą ostateczność, pochlebstwa i kłamliwego się z ludem pobratania, które ani z prawdą, ani z powagą piastowanego przez szlachtę starszeństwa zgodzić się nie mogło. Szlachta i luźni obywatele sądzili, że trafnie rolę swoją odgrywają durząc lud równością; ale wieśniak, który rzeczywistą posiada prostotę, dziwnie musiał być zrażony fałszem tęj parodi, wymyślonej ku pozyskaniu jego współdziałania w sprawie tak ważnej jak jest wywrócenie rządu, i poświęcenie pokoju, zdrowia i życia.

Odtrącił więc lud propagandę przychodzącą mu od Polskiej szlachty, albo od natrętnych apostołów (których za zdrajców swoich uważał), a tēm mocnięj przywiązał się do wyższej władzy, w której widział siłę, i od której spodziewał się pewniejszych korzyści i osobistego zabez-

pieczenia. Poźniejsze wypadki aż nadto nadzieje i mniemanie jego usprawiedliwiły; i nigdy też lud Polski mniej nie był usposobionym do popiérania sprawy narodowości Polskiej jak w téj epoce, w której wszelkie korzyści materialne a razem i natchnienie polityczne od wyższej a obcej nam władzy odbierał.

Zład to powoływanie się stronnictwa ruchu na patryotyzm ludu wiejskiego, i na jego dla myśli narodowej poświęcenie, jest albo największém złudzeniem albo występniem podszechowaniem zniechęconego gminu na zagładę reszty Polskiego żywiołu.

Zarzuci mi kto może, iż krzywdzę lud Polski odmawiając mu patryotyzmu i dobrej woli poświęcenia się dla sprawy narodowej, a przytoczy: iż się ten lud już wiele razy za niepodległość kraju poświęcał i heroicznie za tę sprawę ginął. W rzeczy saméj, że téj odwagi a pogardy śmierci odmówić mu nie można, lecz zwrócić uwagę należy, iż wtenczas się on poświęcał i ginął, gdy był do czynu legalnie wezwanym przez władzę rzeczywistą, istniejącą i mającą w ręku siłę i moc wykonawczą. Poświęcał się w szeregach Polskich, gdy mu rozkaz przyszedł z góry a nie z dołu, w porządku a nie z rewolucyjnego nieporządku. Poświęca się też dzisiaj, walczy mężnie i ginie pod szlاندarami Rosyjskimi, Austryackimi i Pruskimi, a strzela do braci swoich i do ojców z rozkazu władzy, która dla niego więcéj ma uroku jak wszelka myśl narodowa, choćby najpiękniej i najprzystępniej mu wystawiona. Nie krzywdzę więc ludu naszego mówiąc o nim prawdę, ale ani siebie ani drugich ludzi nie chcę utopią ludowego patryotyzmu, która już tylu w błąd wprowadziła. Patrząc bezstronnie i trzeźwo na moralne ludu usposobienie, i powtarzam, iż go dzisiaj nikt do buntu i

walki przeciw istniejącym władzom nie poruszy, a to tém bardziej, iż kilka powstań (które z większą lub mniejszą wczesnością szlachta wywołała), w smutném swém rozwiązaniu przyniosły narodowi coraz srozsze kajdany a ludowi większy jeszcze ucisk.

Dowiodłem więc, o ile mi się zdaje, iż ani bogatsi panowie, ani średnia szlachta, a tém mniej lud wiejski nie są w usposobieniu moralném do podźwignienia miecza i próbowania bezowocnych na dzisiaj rewolucyj; teraz w krótkości dowiodę, iż naród nie jest téż w fizycznej możności stawienia oporu zewnętrznym trudnościom. Każdy wie, iż do prowadzenia wojny nie tylko potrzeba dobrej woli i odwagi, ale i siły fizycznej, oraz środków materialnych, bez których wszelki opór jest niepodobnym. Potrzeba rąk do oręża, koni i broni, zapasów amunicyi, zasobów pieniężnych, miejsca do swobodnej organizacyi, ułatwień komunikacyjnych i punktu oparcia. Tych wszystkich środków Polska jest dzisiaj pozbawioną, i stojąc bezbronna między bagnetem a cepem, zataić niemal w pierśiach musi resztę życia i rycerskiej odwagi.

To powszechnie Polski rozbrojenie i fizyczna jój niemoc wiadome są stronnikom ruchów rewolucyjnych, i zapierać oni przed sobą nie mogą rzetelnego niepodobieństwa wystąpienia do walki z potężnymi Polski zapaśnikami. Dla czegoż więc wywołują naszą męczennicę do nowych i bezowocnych wysiłków? Oto dla tego zapewne, iż sobie zawsze idealizują kwestyą narodową i nigdy szlachetnych uczuć na grunt praktycznego zastosowania nie sprowadzają. Z drugiej strony większa część ludzi rewolucyjnych, oprócz gorącego ducha, nie posiada gruntownej znajomości stosunków krajowych, a tém mniej nauki wojennej i sztuki rządzenia. Zdaje się im, że zapał

wszystko zastąpi, i że dość jest zacząć ruch, aby się już z niego skuteczna wojna rozwinęła. Ten zaś błąd tém się tłumaczy, iż (prawie zawsze) wstępna zaczepka się udaje, i rewolucya nawet bezsilna, przeważne i uporządkowane wojsko zwycięża. Jestto karzeł, który, z nie-nacka przebudziwszy śpiącego olbrzyma, przestrasza go w pierwszej chwili, a czasem do ucieczki zmusza; lecz ten, wkrótce poznawszy przeciwnika, wraca ku niemu i jednym zamachem o ziemię powala. Stronnicy zaś ruchu, nie czyniąc żadnego rozróżnienia między rewolucją a wojną, liczą sobie już na karb wygranej dokonanej pomyślnie rewolucją; tymczasem jest ona dopiero wyzwem ale nie jest jeszcze początkiem walki. Do rewolucyi nie potrzeba zasobów, bez których wojna obejść się nie może; i dla tego pięść twarda, głos donośny, oko zaiskrzone, zastępują broń i inne środki. Nieporządek rewolucyjny czyli anarchia, rozprzegając i łamiąc tryby rządowej organizacji, spędzają chwilowo władzę z jej stanowiska, utrudniają jej działanie, ale jej zastąpić nie umieją i nie mogą. Dla tego widzieliśmy, że ci, którzy początkowali rewolucją, nigdy z pierwszego zwycięztwa korzystać nie potrafili, i stanowiska swego w dalszym rozwinięciu się narodowej walki nie utrzymali.

Jako więc w dobijaniu się o niepodległość narodową czyn rewolucyi poprzedza wojnę, tak z drugiej strony myśl przygotowania wojny powinna poprzedzać rewolucją, to jest: iż wtenczas dopiero można burzyć, kiedy się ma z *czego*, *czém* i *kim* stawiać. Tęj prostej logiki ludzie ruchu nie rozumieją; ale bez obliczenia środków, bez obrachowania własnych sił i zdolności, bez przewidzenia następstw zaczynają sprawę, której już nazajutrz nie mają czém popierać, i tak upadając pod ciężarem

trudności pociągają za sobą naród w przepaść sroźszej niewoli, a czasem i w przepaść wstydu i pohańbienia.

Dodać tu wreszcie musimy, iż ludzie ruchu często zapominają w jakich żyją czasach, i zdawałoby się, że przeniesieni myślą w dawne wieki marzą o zwycięztwach w walce najazdowej lub zaściankowych potyczkach. Nie równa broń kosi przeciw armacie wcale ich nie zraża; ogień rotowy ich nie parzy; kule nie dosięgają; sztuka wojskowa (mająca swoje prawidła) ich nie obchodzi; magazynów nie potrzebują; bez skarbu się obejdą; porządna administracya wewnętrzna jest im zbytęcną; hierarchia sprzeciwia się ich pojęciom; słowem, na te wszystkie warunki mają jedną odpowiedź: *tylko zacząć, a jakoś będzie*. Otóż zaczęliśmy, a przecież nie było i nie będzie, dopóki sami sił wewnętrznych nie przyrobimy. Przyrobić się zaś nie da, jeżeli, narażając kraj na bezowocne burze, niszczyć w nim będziemy wszelki zasób sił fizycznych i materyalnego dobra, a stawiać na kartę rewolucyjną jego przeszłość, terażniejszość i przyszłość.

O patryotyzmie budującym.

Dowiódłszy naszym czytelnikom, iż Polska nie jest dzisiaj ani w moralném ani fizyczném usposobieniu wywalczenia siłą miecza swój niepodległości, nie chciałbym wcale, aby rozumiano, iż stręczę stan gnuśnego niewolnictwa, jako jedyny ratunek i jedyny środek zbawienia czy indywidualnego czy zbiorowego. Nie daj Boże! aby taka myśl grzeczna i podła opanowała serce Polaka, którego życie powinno być ciągłym poświęceniem się i tru-

dem. Kiedy więc radzę, aby schować miecz do pochwy a nawet rzucić go z dala od siebie, to przez to nie mówię, aby przyjąć dobrowolnie kajdany, ale raczej, aby je umieć znosić do czasu z zasługą i ze zbudowaniem tém bardziej, iż onych ani rozerwać nie można, ani złorzeczyć wśród niewoli nie godzi się chrześcianom. W bezbronności naszej większa jest może siła aniżeli się komu zdaje, a w rozsądnej cierpliwości zakład niechybnego zwycięstwa.

Wśród pokoju, na drodze zgodnej z prawami, jakie nam są nałożone, możemy wiele czynić dla dobra ojczyzny, zbierając okruchy smutnych jej rozwalin i składając je nazad w porządną całość. Nie z mieczem więc dzisiaj i nie z młotem, który kruszy, ale z kielnią, która buduje, przy zrębie narodowym stając, układajmy warstwę po warstwie coraz większych przed Bogiem i przed ludźmi zasług. Gdyby zasługa była w burzeniu, toby Bóg tę pracę był ludziom zalecił, i do godności cnot ją podniósł; kiedy przeciwnie, w naszym nawet języku *budowanie* czyli *zbudowanie* pomiędzy cnoty religijne się liczy, a burzenie i rozdział, zgorzenie czyli psucie do szeregu występków należy.

Żadne wyobrażenie w tym wieku nie zostało tyle zwichniętém jak wyobrażenie o patriotyzmie. Bo cóż oznacza właściwie patriotyzm? Oto miłość kraju i ludzi tenże kraj zamieszkujących; miłość pamiątek z przeszłości, gorące pragnienie przysporzenia ogólnego szczęścia w teraźniejszości, oraz żarliwa chęć zbudowania błogiej przyszłości dla następnych pokoleń. Słowem, patriotyzm jesto owa szeroka miłość obejmująca wszystkich i wszystko w narodzie. Że zaś miłość buduje a nie burzy, łączy a nie rozdziela, uzyznia a nie pustoszy, przeto uczucia

dzielącego społeczeństwo, wywracającego ład i wywołującego nowe a nieobliczone na kraj nieszczęścia i prześladowania, patryotyzmem nazwać nie możemy. Wszakże łatwo nam jest pojąć, iż miłość namiętna myli się czasem w środkach, i dla tego uwiedziona niewczesną żarliwością staje się szkodliwą wtenczas nawet, gdy się sądzi być najwyżej użyteczną; zładto pragniemy wytłumaczyć i uniewinnić wewnętrzne zamiary nierozważnych w kraju zapalciców, którzy teorią burzenia gorętszém uczuciem poświęcenia się dla ojczyzny nazywają. Ludziom burzliwym niezaprzeczmy przeto miłości, ale potępimy w nich kierunek, jaki dają poświęceniu swemu, i oskarżymy ich, że znaczenia patryotyzmu nie rozumieją. O! gdyby ludzie gorętszego uczucia chociaż raz w uspokojeniu się wewnętrzném pomyśleć chcieli nad niezliczonymi obowiązkami dla ojczyzny, gdyby okiem przenikliwém ale pogodném wejrzeli w ten ogrom prac szczegółowych, które w miłości dla kraju odrabiać potrzeba, gdyby smętnie ale troskliwie przypatrzyli się owęj wielkiej pustce kraju naszego, na której tylko sterczą groby, zwaliska i rozburzone dawnęj chwały pomniki: to zapewne zwróciłiby swój patryotyzm ku jedynęj myśli budowania, i każdy wedle sił, możności i zakresu (jaki mu Bóg oznaczył), jąłby się obowiązkowo żarliwie i niezmordowanie pracy tyle korzystnęj ile zaszczytnęj. Nie łudźmy się zaś pochlebny o sobie samych sądem, i wyznajmy, że w duchu rozbici na tysiące szczegółowych zdań i opinij, a obok tego siłą podzieleni, zubożali, bezsilni i chylący się coraz więcéj ku rozpacz, przedstawiamy obraz narodu, który Opatrzność karą nawidziła, i od którego się pokuty i poprawy a nie zuchwalstwa domaga. Kościół nasz w niewoli z jednęj strony, a w opuszczeniu przez nas z drugięj,

wychowanie domowe i szkolne zwichnięte, nauki zaniedbane, rolnictwo upadłe, przemysł nierozwinięty, praca nieułatwiona, duch stowarzyszenia prawie nieznan, czynność nie obudzona, drogi nie przebyte, rzeki do spławu nie oczyszczone, lasy wycięte, własność nie uregulowana i obdłużona; oto są mniej więcej plagi nasze, i w obec nich płynący obowiązek uskutecznienia ulepszeń, do których nie wojny ale pokoju potrzeba; łatwo bowiem przyznać, iż rycerstwem tych spraw nie załatwimy.

W dalszym ciągu tego dziełka starać się będę szczegółowo najważniejszych dotknąć zadań, tyjących się wewnętrznych w kraju niedostatków, a teraz wrócę się jeszcze do kwestyi patriotyzmu budującego.

Mało kto dzisiaj wie i czuje, że do wszelkiego budowania potrzeba najprzód położyć *jeden* kamień, to jest: kamień węgielny, a dalsze budowanie uskutecznia się dopiero przez zastosowanie do niego innych, wedle zarysu, a razem według miary i wagi sprawiedliwej. Tym kamieniem węgielnym w społeczeństwie jest najprzód *człowiek*. Nie *ludzie*, nie *ludzkość*, ale *człowiek* mówimy; a ztąd też każdy, który chce w społeczeństwie budować, sam siebie najprzód zbudować powinien, i nie może zaczynać od *ludu*, od *ludzi*, od *ludzkości*, ale sam się najprzód w tę ścianę gmachu narodowego ustawić musi wedle miary a wagi wyższego zarysu praw Bożych. Błąd i nie szczęście tego wieku najwięcej leży w tém, że wszyscy są *reformatorami* a nikt nie jest *reformującym się*; czyli wszyscy poprawiają, a nikt się nie poprawia. Po *człowieku* czyli *indywiduum* idzie dopiero rodzina; po rodzinie *dom* czyli *domownictwo*; potem idzie *parafia* czyli (jak dzisiaj chcą nazwać) *gmina*; później dopiero *okolica* czyli część kraju, a potem *kraj cały* czyli naród ple-

mienny w kraju przez Opatrzność mu wydzielonym osiadły. W końcu idzie *państwo* (jak to dziś nazywają) czyli kilka narodów pod jednym rządem stojących. Widzimy tedy, iż zanim się przyjdzie aż do reformy państwa (do której każdy dziś zdaje się mieć prawo i zdolności), to należy piérwój przejść kolejno szczeble wielu reform, poczynając je od wyrobienia pojedynczego człowieka, a później rodziny, gminy, aż do narodu.

Weźmy wszakże piérwszego z brzegu reformatora ludzkości, i zapytajmy się, czy przechodził te wszystkie szczeble, zanim stanął na szczycie nauczyciela ludu i ludów? zapytajmy się, czy własną reformę ukończył? a najprzód: czy ma wiarę? a tém samém czy wie, jakie ma obowiązki względem Boga i względem bliźnich? Niestety! po większej części ci panowie ani dziesięciorga Bożego przykazania, ani prostego katechizmu nie umieją. Jakże więc sądzić potrafią o obowiązkach społeczeństwa względem Boga i względem reszty ludzkości, jeżeli sami nie wiedzą, iż Bogu duszę są winni, a prawu Bożemu posłuszeństwo, a bliźnim miłość i posługę?

Teraz zobaczmy ich wśród rodziny, zapytajmy: jak oni uważają sakrament małżeństwa? Żony poświęciłyby chętnie (gdyby śmiały i mogły), że są niepospolitými despotami, tymczasem nikt więcej od nich o usamowolnieniu kobiet nie rozprawia, i nikt więcej prawa rozwodów nie popiera, a nikt téż więcej od nich dla rozpusty nie ma pobłażania. Przypatrzmy się im w kole domownictwa, i zapytajmy się służących, czyli do nich prawa równości (tak głośno wywoływane) stosują? Odpowie każdy służący w pół nagi i głodny: „że bogdaj to służyć u pana z panów!“ Teraz przypatrzmy im się w parafii, i zapytajmy o przykład, jaki dają ludowi? o sto-

sunki, w jakich znajdują się z proboszczem, o przyzwoitość, z jaką zachowują się w kościele? lecz pócoż się pytać o kościoł? wszakże tam nie bywają!

Teraz przejdźmy do obowiązków obywatelskich i zbadajmy rodzaj owego poświęcenia, którym tak się przechwalają! Gdzież są owe fundusze, które złożyli na użyteczne lub dobroczynne w kraju zakłady? gdzie owe stowarzyszenia w celach naukowych, rolniczych lub przemysłowych? gdzie owa troskliwość o gmachy starożytne historyczne, jakimi są kościoły, ratusze i inne pomniki narodowe? gdzież jest owa troskliwość o postęp w naukach, o przechowanie i wykształcenie literatury ojczystej? o podniesienie sztuk pięknych, o wydoskonalenie rzemiosł? W końcu zaś ani nie pytajmy się o rzecz najważniejszą, to jest: o wspieranie i utrzymywanie zakładów duchownych, jako to: seminariów, szpitalów, zakonów i tam dalej! Tym zakładom nie tylko panowie reformatory nicby przysporzyć nie chcieli, aleby niemal szarej siostrze wyżebranego grosza zazdrościli.

Po takim przeglądzie niechże sumiennie wyznają reformatory społeczeństwa: czy mają prawo rządzić w narodzie i czyli nie potrzebują zacząć reformy od samych siebie, i czy najwyższym dowodem ich patryotyzmu nie będzie przede wszystkiem *własna poprawa*? Jak bowiem pierwój materyał musi być obciosanym anizeli w ścianę jest ułożonym, tak téż pierwój muszą się pojedynczy ludzie i rodziny poprawić, zanim się o reformie całego narodu pomyśli.

Gdyby ci ludzie ruchliwi i działalni byli zaczęli poprawę od siebie samych, i zamiast trawić tyle czasu i energii na swarliwej krytyce drugich byli wydali wojnę własnym niedoskonałościom, to jużby byli samym przy-

kładem wielką poprawę w społeczeństwie uskuteczнили. Gdyby się pokazali na drodze miłości tyle żarliwymi ile są na drodze nienawiści, zazdrości i pychy, toby już byli w połowie Polskę zbudowali. Gdyby byli zajęli się wychowaniem i wykształceniem tylu młodzieży, ilu zgorszyli, rozzuchwalili, zbuntowali i do próżniactwa skłonili, toby już nowe pokolenie górowało jako wyższa warstwa narodowego gminu, i ojczyzna z pociechą przyglądałaby się tej nowej warstwie, obiecującej przyszłą chwałę i świetność narodu. Lecz niestety! ślepi wodzowie młodego pokolenia w imię patriotyzmu nad tem tylko pracowali, aby wyrwać z serc ostatki wiary, moralności i przyzwoitości, a zasiać na tym bujnym gruncie nasiona pychy, zuchwalstwa i lenistwa; i do tego też doprowadzili, że jedna część nieszczęśliwej młodzieży zginęła na rusztowaniu, druga gnije w więzieniach, trzecia zmiera głodem poza granicami kraju, czwarta brzęczy próżnym fałszem po ulicach miast, a reszta, licząc zawsze na obiecywane ruchy i reformę świata, niczem się nie zajmuje, do niczego ręki nie przykładą, ale trawi wiek i zdrowie w rozpuście a życie w znudzeniu, a może i w rozpacz.

Otoż to są skutki patriotyzmu burzącego, "owoce nowej szkoły polityków humanitarnych, którzy o ludzkości myślą, a o człowieku najbliższym, to jest o samych sobie zapominają.

Człowiek samego siebie kochać powinien nie tą miłością egoistyczną, która wszystko odnosi do siebie, ale tą miłością chrześcijańską, która budować dla siebie nakazuje zbawienie wieczne i szacunek u współobywateli. Kto więc duszę swoją kocha, ten o nią dbać powinien, to jest wykształcać się, uświęcać, i cnotą oraz zasługą wzbogacać. I nie uwierzę, aby ten kochał ojczyznę, kto

własną duszę zatracą, i aby mógł budować społeczeństwo wtenczas, kiedy sam jest w moralnym i politycznym rozburzeniu. Cóż nam przyjdzie z tej zasy śniegowej teoryj humanitarnych, którą zawierzucha w rozdoły zmiata?! Promień słońca zaświeci, a góra śniegowa w błoto się zamienia. Cóż nam dobrego przyniosły nauki z zachodu, które wysmażył w zaklętym tyglu jakiś filozof, lub profesor bez katedry, kiedy onych zastosowanie ani jest niezbędnym, ani dla ludzkości zbawiennym? Istna zadymka, taniec jesienny zgniłych liści, w którym prócz ruchu wirowego ani kierunku ani pożytku nikt się niedopatrzy.

Wyteżył się wzrok reformatorów na mnogie nadużycia z przeszłości i w nich znaleźli powód potępienia wszystkiego, co było i co jest. Chcieli jąć się stworzenia nowego świata wedle świeżego zarysu i wedle myśli własnej; ale zapomnieli, że nie mówią do ludzi, których dopiero stworzyć mają, ale do tych, którzy już stworzeni, i którzy noszą w sercu całą przeszłość i wszystkie nawyki z przeszłości. Trudno więc aby ten, który chce może poprawy i ulepszeń, ale broni się od zagłady, stał się odrazu powolnym narzędziem w ręku ludzi, którzy go zawsze obaleniem całego porządku towarzyskiego straszą, i w jego miejsce próbę własnych utopij stręczą.

Wreszcie ludzkość nawykła była od początku wierzyć, iż światem całym rządzi wyższe prawo, którego ustawy ludzkie są tylko lub powinny być rozwinięciem. Ludzkość, czyto z wiary, czyli z przecucia, przyzwyczaiła się odnosić do własnego sumienia, prawem nadprzyrodzonym oświeconego, wszelki stosunek towarzyski mniejszego lub większego zakresu; kto więc wbrew temu uczuciu idzie, a gwałt przekonaniu zadaje, rozwiązując święte skrupuły powszechnego sumienia, ten bierze cięż-

zar wszystkich światów na swoje barki i siłą odporną zostanie skruszonym lub daleko wyrzuconym.

W sumieniu powszechném dwa są główne wstręty: *zabójstwo i rozbój*. Biada temu, któryby chciał ten wstręt osłabić; bo chociażby na chwilę namiętność wzięła górę nad ustawą moralną, to wkrótce głos wewnętrzny odezwie się w duszy, wznieci świętą obawę i pomstą nierozważnego kusiciela ścigać będzie. Nie wygrał więc ten, komu się udało podburzyć, ale dopiero stawił na kartę własne sumienie i życie. Może wygrać jedną i drugą stawkę, lecz Bóg i ludzkość wkrótce zawoła *banco!* a wtenczas biada temu, który w grę namiętność wprowadził.

W narodzie taki jest porządek jak i w wiejskiem gospodarstwie. Rolą można poprawić, ulepszyć, ale nie można gatunku jęj zmienić. Bieg wody można zużytecznić, ograniczyć, ująć w koryto, ale nie można przymusić, iżby z dołu do góry płynęła. Na wierzbach próżno jest spodziewać się owoców, ani przemienić gatunku drzew rodzajnych, lecz one tylko ulepszyć i uzacnić można; trawie i zbożu nikt wzrostu przed czasem nie przyczyni. Słowem, w gospodarstwie wiejskiem ten jest najnędrszym gospodarzem, który wedle gatunku gleby i położenia swojej wioski i w miarę towarzyszących okoliczności plan rolniczy stosuje. Ten mówimy: który do najwyższej produkcji własność swoją doprowadza, a to przez doskonałą uprawę, siów, roztropne budownictwo, dobry zarząd i pilne a staranne korzystanie z bogactw miejscowych. Gdyby zaś ten gospodarz ciągle grunt orał a nigdy go nie siał, i budynki wywraçał a nigdy nie budował, i zawsze coś urządzał i przemieniał a nigdy nic stanowczo nie urządził, to niezawodnie i samby się zrujnował, i wieśby rozburzył, i miałby w korzyści głód i wstyd. A przeto

zamiast ciągłego burzenia tak w narodzie gospodarować należy, iżby stosując się do położenia kraju, do jego wiary religijnej, obyczajów i historii, rzecz własną doskonalić i rozwijać, a na tym gruncie ciągle budować, siać, ulepszać, uczyniać i upiększać, i tej pracy poświęcać życie całe, siły, zdolności, młodość i starość swoją, to jest: zapał i doświadczenie.

O! jest w czém pracować, i jest z czego i co stawiać w tej naszej kochanej Polsce, która chociaż straszy i smuci rozwalinami, to przecież pociesza bogactwem materyałów. Jest gdzie siać, i byłoby co zbierać, gdyby wszyscy jęli się porządnej roboty, a rzekli sobie razem: *Kiedy nam odjęte królestwo ziemskie, budujmy w naszej ojczyźnie królestwo Chrystusowe; królestwo zgody, miłości i pokoju, królestwo wiary i zasługi; słowem: królestwo wybranych, bo cierpiących wraz z Chrystusem i szukających w nim i przez niego zbawienia.*

O patryotyzmie księży.

Przystępując do praktycznej kwestyi szczegółowych obowiązków ze strony rozmaitych stanów, naród składających, zdaje nam się być rzeczą słuszną zacząć od duchowieństwa, które z godności, jaką je Bóg przydział, pierwsze zajmować powinno miejsce w narodowym obywatelstwie. Chociaż bowiem kapłani służą przede wszystkim Bogu, to jednak służą mu pośrednio przez ludzi, nad którymi piecza duchowa jest im powierzona; służą też i narodowi wedle szczególnego powołania, jakie im Bóg w kraju nazaczył. A więc jeżeli jako wysłannicy

Boga i zastępcy Chrystusa Pana na ziemi górują nad społeczeństwem, to z drugiej strony, wychodząc z łona narodu, są porównani ze wszystkimi innymi obywatelami w prawach i obowiązkach towarzyskich.

Z tego podwójnego charakteru podwójny także dla duchownych wypływa obowiązek: jeden względem Boga przez ludzi, drugi względem ludzi według Boga; czyli jeden kapłański a drugi obywatelski (pojęty w duchu praw chrześcijańskich).

Nad wszystkimi atoli celami i obowiązkami kapłanów góruje szczególniej powołanie budowania i zaprowadzania w całym świecie królestwa Bożego, w którémby prawa Chrystusowe zastosowane i rozwinięte w myśli, słowie i czynie ludzkim pozyskały wyłączne nad światem panowanie, i stały się podstawą i zasadą wszelkich praw i ustaw, a niemniej wszelkiego stosunku i urzędzenia między ziemią a niebem, i między ludźmi wspólny cel zbawienia mającymi.

Ten obowiązek i ta jedyna myśl budowania królestwa Bożego wśród ludzi i przez ludzi powinnyby zajmować wyłącznie kapłanów i zapełniać całe ich życie, a zwracać ku temu celowi wszelką ich działalność. Królestwo bowiem Chrystusowe nieśmiertelne i powszechne pochłania w sobie wszystkie pomniejsze królestwa ziemskie, które są tylko jakby chwilki życia ludów w tém morzu wieczności, i jako epizody ogólnego przemarszu ludzi z ziemskiej do wiecznej ojczyzny. Ztąd téż wszystkie zadania, dotyczące się formy i cząstkowych przeobrażeń doczesnego urzędzenia społeczeństw, muszą być koniecznie dla kapłanów kwestyą podrzędną, i o tyle tylko obchodzić ich mogącą, o ile te urzędzenia dopomagają lub stawiają przeszkodę główniej myśli budowania królestwa Bożego.

Księża znają doskonale ostateczne zadanie ludzkości, i wiedzą, że jak się każda obietnica Chrystusowa spełniła, tak też spełnić się musi najwyższy cel zgromadzenia wszystkich ludzi w jedną owczarnią, nad którą będzie jeden pasterz, i która się urządzi wedle jednego prawa Bożego, zaprowadzającego harmonią czyli zgodę różnic wedle tonu miłości i prawdy. Skoro zaś kapłani wiedzą, jaki jest cel ostateczny, przeto, postępując do ogółu przez szczegóły, podwójny znowu mają obowiązek; pierwszy: budować królestwo Boże powszechne (wedle wyższego zarysu), a drugi: starannie wyrabiać szczegóły, mające wchodzić w budowę powszechnego kościoła; i ztądto właśnie rozumimy względne powołanie kapłanów w pojedynczych narodach, i z tej zasady płynący patryotyzm księży, którzy posłannictwem i obywatelstwem z resztą społeczeństwa są związanymi.

Chociaż więc zbawienie wieczne ludzi głównem jest zadaniem duchowieństwa, to przecież słuszną jest rzeczą, iżby go sprawy ziemskie, a tém bardziej sprawy ojczyzny, z bliska i gorąco obchodziły. Chrystus Pan kochał także ojczyznę swoją ziemską, i płakał nad Jerozolimą, przewidując nieszczęścia, jakie spadną na to święte miasto. Ależ właśnie w tej miłości Chrystusa Pana dla ojczyzny kapłani jedyny i wyłączny wzór mają, tak dalece, że każde od tego wzoru zboczenie prowadzi ich w grzech, który Bóg potępia a społeczeństwo surowo sądzi. Miłości Chrystusa Pana do ojczyzny porównywać nie możemy ani z namiętnością rewolucyjną, ani z bałwochwalstwem ziemi, w które czasem wpadają nasi kapłani wbrew posłannictwu swemu miłości i pokoju. Chrystus kochał swoją ojczyznę dla jej zbawienia, i nie budził w niej ducha buntu, ale raczej szerzył duch pojednania i prawdy. Jako król rze-

czywisty ludu Izraelskiego (z pokolenia Dawida) mógł się powołać na prawo rodu swojego, mógł lud Żydowski zachęcić do rokoszu przeciwko cesarzowi, a wreszcie mógł naukę swoją popierać siłą, gdyż niebo i ziemia byłyby mu dostarczyły hufców, a wszyscy ubodzy byłiby stanęli pod jego sztandarem, walcząc z rządem, który się ludowi narzucił. A przecież Chrystus Pan nie użył żadnego z tych środków, ale szukał innego zwycięstwa i inną drogą ludzi podbijał królestwu Bożemu! Nauczał, uzdrowiał, przebaczał, odradzał i zaślaniając nawet grzeszników przed rzeszą mściwych Żydów, kochał wszystkich, zbawiał wszystkich, a życie swoje za przyjaciół i nieprzyjaciół położył.

Jak zaś poselstwo z nieba ewangelii świętej było (wedle Pisma) „najprzód do Żydów a potem do pogan,” tak też i księży w narodzie najpierwszy mają obowiązek względem współrodaków, wśród których Opatrzność ich postawiła, a później dopiero względem innych ludzi; to jest: że jeśli ksiądz narodowi swojemu wyłączności przyrzekać nie może, to jemu jednak pierwszeństwo dać winien, albowiem nie tylko bliższym mu jest jego własny naród przez naturalny stosunek tożsamości plemiennej i przez wspólność jednakowych doczesnych przeznaczeń, ale również i przez wspólność mowy, ułatwiającej rozprowadzenie słowa Bożego i szerzenie między ludźmi Chrystusowego królestwa.

W tym stosunku księży do ojczyzny kwestya dla nich jest nader jasna, bo wiedzą, że (pomimo, iż kościół jest powszechnym, a pojedyncze gromady ludzkości zleją się kiedyś w jedną owczarnią), to przecież tę ogólną ojczyznę ze szczegółowych narodowości budować muszą, i one wedle zaręsu prawa Bożego kształtować. Lecz

gdzie jest trudniejsze zadanie, i na którym się nie jeden już z kapłanów zwichnął, to w stosunku zachodzącym między obowiązkami dla kraju a postuszeństwem dla władzy duchownej i uległością dla władzy świeckiej. Tu właśnie jest cały skopuł w rozpoznaniu różnicy między prawami niezaprzeczonemi kościoła (o które się ksiądz upominać winien czyli u rządu, czyli u narodu), i od których odstąpić nic nie może, a innemi prawami podrzędnemi, przechodniemi i zmiennemi, przy których upierać się nie ma potrzeby. I tak: jeżeli duchowieństwo dopomina się o wolność kościoła w przedmiotach czysto religijnych, to jest o wolność wewnętrznego urządzenia się, swobodnego dopełniania obowiązków kapłańskich w wychowaniu dusz i w nauczaniu prawa Bożego; jeżeli dopomina się o wolność zgromadzeń duchownych, w celu czysto religijnym założonych; jeśli żąda bezpośredniego znoszenia się z głową kościoła lub biskupami, to wtenczas jest zupełnie w swoim prawie i wymagania jego rychlej lub później przyznanemi mu będą. Gdyby jednak w miejsce tej wolności i tych praw dopominał się o swobody czysto świeckie, albo co gorzej jeszcze, mieszał się do stronnictw pokój i zgodę zakłcających, i tém samém ubliżając kapłaństwu nadużywał obywatelstwa narodowego, wtenczas rząd lub naród, korzystając z danego przez księży pozoru, nie tylko im wolności obywatelskie ukróci, ale się targnie i na swobody duchowne i ścieśni zbiwną działalność duchowieństwa.

Zawsze to widzieliśmy, że ile razy księża wdawali się w uporną opozycją przeciwko doczesnym rządóm, tyle razy władza świecka ośmieliła się zaprzeczać im rządów duchowych; i skoro tylko ksiądz jął się miecza, to mu w tej chwili rząd świecki nie tylko miecz ale i

trybularz z ręki wytrącił. I rzecz jest bardzo naturalna, iż gdy posłannictwo kapłanów jest czysto duchowe, a posłannictwo władzy świeckiej jest czysto ziemskie, przeto, ile razy duchowieństwo zejdzie na grunt ziemski, tyle razy jest słabsze od rządu, a ile razy rząd świecki nie na swoim polu z duchowieństwem walczy, tyle razy od niego jest słabszym.

Fałszywe pojęcie tego rozgraniczenia tak ze strony duchowieństwa jak ze strony władz świeckich jest może głównym powodem wszelkiego dzisiejszego nieporządku w społeczeństwie. Władze odmawiają kościołowi panowania nad duchem dla tego, iż się kapłani wdzierają w ich prawa nad ziemią. Królowie nie pozwalają budować księżom królestwa Bożego, albowiem kapłani nie zawsze wedle Boga wpływają na sprawy królestw doczesnych; i zdarza się aż nader często, że kapłani, pragnąc przede wszystkim posiadać ziemię, zarówno duch jak i ziemię w coraz sroższą zależność i niewolą podają, a sami zniżenia powagi swojej stają się powodem.

Bogu dzięki! iż zarzuty, jakie czynimy, nie tyczą się ogólnie całego duchowieństwa, i że jest owszem w kościele Bożym liczny hufiec świętobliwych kapłanów, którzy, idąc środkową a sprawiedliwą drogą, ciągle budują kościół powszechny i królestwo Boże, pomimo przeszkód stawianych przez rządy i ludy. Wszakże obok tego hufcu są na prawo i na lewo zbłąkane oddziały, jakby marodery wojska Chrystusowego, którzy zszedłszy z gościńca w niebezpieczne zapuścili się manowce.

Jedni ze zbłąkanych kapłanów, opierając się na tekście Pisma: „iż wszelka władza pochodzi od Boga,“ posuwają czasem za zbyt daleko rozwinięcie tej zasady, i poddając prawo Boże ustawom ludzkim a kapłańskie obowiązki na

świeckie przemieniając, powtarzają razem z wiarołomnymi Żydami: „Nie znamy innego króla, tylko cesarza.“

Prawda, iż wszelka władza pochodzi od Boga, ale też właśnie dla tego, że od Boga pochodzi, po Bożemu rządzić powinna; nie ma bowiem prawa bez obowiązku, a tém samém obowiązki władzy, płynące od Boga, także w duchu Bożym spełnionemi być powinny. Najpierwsza, najstarsza i naturalna władza, jaką jest ojcowstwo, o tyle przecież jest prawną, o ile nic przeciwko ustawom Bożym nie nakazuje; przestaje zaś obowiązywać, gdy gwałci prawo Boże. Taką sama zasada stosuje się do wszelkiej innej władzy.

Drudzy kapłani, owiani jakąś zewnętrzną zarazą, wpadają w przeciwną ostateczność, albowiem biorąc udział w świeckim buncie, radziby siebie i ludzkość z pod wszelkiej zwierzchności wyswobodzić. Zdaje się im, że Pan Bóg otworzył w tym wieku jakieś nowe źródło władzy we wszechwoli ludowej, a odwieczne prawa swoje złożywszy, przelał je na gmin. W taki więc szczególny sposób rządzą sumienie, iż z tego, *co należy Bogu*, mało oddają, a z tego, *co należy się cesarzowi*, nichy oddać nie chcieli. To zaś całe zwichnięcie myśli okrywają patryotyzem i usprawiedliwiają uczuciem religii jakiejś *humanitarnej, postępowej, religii narodowej, patryotycznej* i t. d.

W miarę jak ten błąd się szerzy, powaga duchowieństwa upada. Obywatelstwo świeckie bierze w duszy księdza szkodliwą przewagę nad kapłańskim jego powołaniem. Stać się może taki ksiądz *człowiekiem ludowym*, ale przestaje być *człowiekiem Bożym*. Obyczaj jego przybięra wyraz goryczy, dzikości i pewnej rubasności, który aż nadto wykrywa wewnętrzny bunt i rozburzenie.

Namiętność polityczna zacięra w sercu myśl Bożą; zabiegi w kole stronnictwa odrywają go od ważnych stanu obowiązków; postępując zaś coraz dalej na tej drodze, przejdzie od buntu przeciwko władzy świeckiej do rokoszu przeciw władzy duchownej, i już stoi nad przepaścią! O! gdyby ksiądz taki widział lub uczuł wewnątrznie, ile on gorszy i razi swoim postępowaniem, i jaki obudza do siebie wstręt we wszystkich poczciwych ludziach, toby już przez sam szacunek i dla stanu swojego, i dla swęj godności, nigdy w ten błąd nie wpadał. Ksiądz arystokrata, lub demokrata, albo namiętny stronnik tego lub owego kształtu rządu; ksiądz z mieczem w ręku, albo we frygijskiej czapce: jest coś tak potwornego, iż sami nawet stronnictwa jego sojuszniki ani szacunku dla niego ani szczeręj przyjaźni mieć nie mogą. Każdy wie, iż kapłan katolicki, czerpiąc swoją naukę od jedynego mistrza Jezusa Chrystusa, tę tylko prawdę Bożą rozwijać ma obowiązek, i nie wolno mu się nawet nazywać ani od Jana ani od Pawła, ale tylko od samego Chrystusa. Jakże więc razi, gdy ten, który przeznaczonym jest do zwalczania pogaństwa, zowie się po pogańsku arystokratą lub demokratą, i zamiast służyć Panu Bogu i jego kościołowi, oddaje się w służbę patrycyuszom lub plebejuszom? Jakto dziwnie razi, gdy ksiądz, który ma być odgłosem mowy Bożęj do ludzi, staje się echem wrzawy zbuntowanego gminu! Czuje się taki zawód i takie rozczarowanie, iż nie raz boleść serce ściska, a mimowolnie sąd za zbyt może surowy z ust się wymyka! Bo jakże tu nie boleć, kiedy się widzi ziemię jałową i uprawy potrzebującą, a *sól ziemi skażona*, bez pożytku z pyłem ziemskim zmieszana, coraz więcej wietrzeje!

My u kapłanów dopominamy się o chleb Boży, o mannę duchową, głodni prosimy o pożywienie nas słowem Bożem, a oni nam dają pruchno obcych teoryj, które nam już niestrawność sprawiły i do których coraz większą czujemy odrazę. My w kapłanach naszych chcemy uszanować sędziów pokój czyniących, a oni nam występują jako rzecznicy stronnictw lub jako zbrojni szermierze. Jednemu tylko Kordeckiemu z księży Polskich, jako natchnionemu i szczególną łaską do obrony świętego miejsca powołanemu, rycerstwo przystało, tak, jak i jednej dziewicy Orleańskiej miecz do kobięcej dłoni się nadał. Lecz to są najrzadsze wyjątki, i takie szczególnie posłannictwo Bóg potwierdza wyraźném objawieniem; w ogólniej atoli zasadzie Bóg w ręku kapłanów swoich nie chce widzieć miecza, bo i ucznia swego Piotra z miecza rozbroił, i nie dopuszcza sprzeczności, iżby ci, którzy spełniają niekrwawą ofiarę, pobudzali do krwawego między ludźmi zapaśnictwa.

Otoż ten patryotyzm *waleczny, burzliwy i wyzywający*, dziwnie księżom nie przystoi, i jest tylko fałszywym umizgiem do pozyskania częściej popularności. Prawda, iż na chwilę okrzykuje lud na ulicy chwałę księdza demokracji, ale widzieliśmy na własne oczy taki smutny koniec téj chwały, iż nie tylko ludziom ale żadnemu stworzeniu na ziemi takiego końca nie życzymy!

O mój Boże! czyliż ksiądz, którego sam uczysz wszelakiej mądrości, i którego jako nauczyciela w swoje miejsce między narody posyłasz, potrzebuje uczyć się od studentów demokracji? czyliżby nie dał dowodu większego patryotyzmu, gdyby ich nauczył katechizmu? Czyliż ksiądz, który jest ojcem naszym, przewodnikiem naszym, i u którego nóg składamy się w pokucie, potrzebuje

innę wziętości nad tę, którą mu święte jego powołanie nadaje? Gdyby był ministrem państwa, prezydentem republiki lub królem, mniejby miał godności, jak kiedy jest Chrystusowym kapłanem!

Lecz nie będziemy się już rozwodzić nad tym smutnym przedmiotem. Podziękujmy raczej Bogu, iż te zбочenia wyjątkowo tylko kościół Chrystusowy zasmucają. Jeślibyśmy nawet o nich wspomnieli, to tylko z gorącej i serdecznej dla duchowieństwa życzliwości, sądząc, iż może który kapłan chwilowo obałamucony pomyśli, że musi taki duch nie być sprawiedliwym, gdy się już często i głosy świeckie katolików przeciwko niemu podnoszą. Zresztą upraszam duchowieństwo, aby te moje uwagi przyjęło z takim pobłażaniem, z jak wielkiem je podaje uszanowaniem i synowską miłością.

Jakież jest więc znamię księdza *patryoty*? Na to pytanie łatwa odpowiedź, iż ten ksiądz jest prawdziwym patryotą, który w narodzie swoim najgorliwiej dopełnia obowiązków swego stanu. Jakże zaś ważne i obszerne są obowiązki kapłana! Jakże to płodne i piękne pole, które on uprawia! Ziemię w raj przemienić, i świat nasz do nieba podwyższyć, oto powołanie księdza! Boga dać ludziom poznać, miłość Bożą w sercach rozniecić, i z człowieka zwierzęcia zrobić człowieka anioła, oto jest praca księdza. Grzech z ziemi ojczystej wytrzebić, a pole uprawne ziarnem prawdy Bożej obsiać, oto jest najbliższy obowiązek księdza.

Zbadawszy pilnie niedostatki duchowe naszego społeczeństwa, spostrzegamy powszechny brak nauki wiary; to jest katechizmu dogmatycznego, historycznego i moralnego. Klasa nawet oświećsza, z małemi bardzo wyjątkami, katechizmu nie umie; o Pismie Świętém bardzo

słabe ma wyobrażenie, a moralność chrześcijańską tłumaczy sobie wedle miary własnych pojęć, i wedle zewnętrznych wpływów i panującej opinii. Zład też sumienia najdziwaczniej i najrozmaiciej są urządzone. To, co jeden ma za grzech, drugi poczytuje sobie za cnotę. To, co należy Bogu, człowiek oddaje ludziom lub nawet rzeczom; bałwochwalstwo niesformułowane w obrządek ale praktycznie rozwinięte grasuje wśród nas, a pogaństwo odradza się jak złe zielsko na polu uczuć nibyto chrześcijańskich. Nie tylko więc prawa Bożego nie wypełniamy, ale się go nawet nie uczymy. Żadnej kwestyi dobrze nie zgłębimy, i dla tego o rzeczy wiary a szczególnież też o kościele Bożym mówimy jakby lutrzy, szyzmatycy lub niewierni. Rozumimy tylko kościół murowany z cegły lub z kamienia, ale o kościele żywym, zbudowanym z nas samych i tworzącym jedno ciało i jakoby jednego człowieka, z rządem głowy i z czuciem serca, o tym nie mamy wyobrażenia; dla tego ciągle szarpimy w kawałki własne ciało, roztrzacamy własną głowę i wygaszamy w nas samych ogień życia. Kapłan więc *patryota* największy da dowód miłości ojczyzny, gdy nas i dzieci nasze wyuczy katechizmu, to jest: da nam poznać Boga i jego prawa. W innych krajach katolickich wszyscy kapłani (i to prawie bez wyjątku) tak dalece się do tej powinności poczuwają, iż nie ma najuboższej wioski, ukrytej nawet w głębokich Pireneach, aby w niej pleban nie uсовестił corocznie wszystkich dzieci od lat 10 do 14 w nauce wiary, i nie przygotował ich do godnego odbycia sakramentu spowiedzi i przyjęcia ciała i krwi pańskiej. Każdy ksiądz uważa to za obowiązek sumienia, i za powinność względem Boga i społeczeństwa, i nie go w tym obowiązku ani osłabia ani odstręcza. Rodzice zaś

(choć czasem sami bezbożni) tak dla swych dzieci o tę naukę się upominają, iż z dalekiej chaty, o milę nawet odległej, dzieci swoje na katechizm prowadzą; dzień zaś odbytej pierwszej komunii, za najważniejszą epokę w życiu swych dzieci uważając, wiek dziecka od tego dnia liczą, i mówią np. „Ma lat 19, bo już jest ośm lat od pierwszej komunii.“ Na drugi rok też same dzieci mają sobie wyłożony obszerniejszy katechizm historyczny i moralny, nazwany *Katechizmem wytrwałości* (Catechisme de perséverence), który je utwierdza w wierze, i razem przygotowuje do powtórnej komunii i sakramentu bierzmowania. Że zaś te nauki odbywają się w kościele w wolnych chwilach od nabożeństwa, a nawet od pracy dzienniej, przeto i rodzice, będąc obecnymi w kościele, przypominają sobie główne zasady wiary i wspólną z dziećmi odnoszą korzyść. Moźniejsze rodziny wspólnie z najuboższymi dzieci swe posyłają na nauki katechizmu, i tym sposobem tworzy się między nimi (jedynie możebne) w Bogu porównanie i braterstwo. Nasi szanowni kapłani zarzucają: „Iż to za granicą weszło w obyczaj ludu, i dla tego jest możebnym do skutecznienia, ale u nas niktby dzieci nie posłał.“ Zapewne, iż pierwszego roku na sto dzieci byłoby pięć albo sześć. Lecz na drugi i następne przy zachęcie, emulacyi i korzyściach moralnych byłoby coraz więcej, aż w końcu weszłoby w obyczaj. Inni kapłani powiedzą, że to są wznowienia nie potrzebne, cudzoziemskie. Może być; ależ i demokracja jest wznowieniem, i z cudzych krajów jest przyniesioną, a jak się to prędko na kapłańskim nawet polu przyjęła! Przecież u nas w Polsce starszy katechizm od demokracji!...

Drugi dowód *patryotyzmu* daliby nam księża, oświecając nas w ciągu roku przez nauki praktyczne i przez

jasny wykład *Pisma Świętego*. Nauki, mówię, zastosowane do życia prywatnego i towarzyskiego, kazania dobre często słyszymy, i niechaj Bóg i za to duchowieństwu zapłaci, ale nauki proste z ducha Bożego powiedziane (a nie czytane) bardzoby nam się przydały, boby prostowały sumienia i sprawy nasze. Do tych nauk, zwanych w Rzymie *reformami*, dziwna łaska Boża jest przywiązaną, bo dotyczą codziennych obowiązków człowieka.

Misy od czasu do czasu są także niepospolitą dźwignią moralności chrześcijańskiej. Zespolają siłę kilku żarliwych kapłanów, i z nagłą potracając duszę wiernych, sumienia uspione budzą. Odpust trwa za zbyt krótko, i jest często dla ludu Świętem kramarskiem i wesołą schadzka, kiedy tymczasem misya jest jak dęszcz użyzniający pole sumień po długiej posuszy.

Skłonienie wiernych do częstszej spowiedzi nie byłoby mniejszym dowodem patryotyzmu księży. Prawda, iż to jest najnudniejszy dla kapłanów obowiązek, ale też najpożyteczniejszy dla wiernych środek poprawy. Jakoś w Polsce (w tym jednym tylko przepisie) trzymamy się głoski prawa, i czekamy na tę wielkanoc jakby na epokę powszechnąj pralni sumień. Księża się też gotują na tę straszną pracę jak na wojenną wyprawę; bo nie mała jest rzecz wyprać brudy duszy z całego roku ubierane. Ale też właśnie, że tak praca trudna, to się zaledwo sumienia przepłuczą, i mało co są bielsze. Gdyby w ciągu roku na częstszy blich poszły, byłoby kapłanom lżej a wiernym zbawienniej. Wielu księży i wiernych słyszałem nazywających tę radę jezuicką. Jeśli w rzeczy samėj Jezuitom ten obyczaj częstszej spowiedzi winniśmy, to chwała im, i warto się tego od nich nauczyć. Wszakże czytamy i

w katechizmie, że kościół nakazuje przystępować do spowiedzi: *przynajmniej* raz w rok, a nie: *tylko* raz w rok.

Byłby także naród duchownym nieskończenie obowiązany, gdyby gorliwie raczyli zająć się bractwami już istniejącymi, lub utworzeniem nowych, jakto np. ś. Wincentego a Paulo, śgo Franciszka de Regis, które bezpośrednio wpływają na pożytek duchowy społeczeństwa, a zespolają ludzi w celach dobroczynnych i miłosiernych. Modlitwa bractw jest dopiero jedną częścią obowiązków, kiedy drugą jest zastosowanie miłości chrześcijańskiej do stosunków społecznych. Taki był duch wszystkich instytucyj bractw chrześcijańskich, dopóki był w nich *Duch Boży*, i dopóki byli tacy, którzy mu nadawali kierunek, to jest: ojcowie duchowni. Dzisiaj, chociaż są bracia napisani na tablicy, to ich mało jest w kościele, a jeszcze mniej przy łożu chorego, przy barłogu nędzarza, i w pośrodku zwaśnionych ku ich pogodzeniu. Kasa bractw próżna, serca braci próżne, ręce w zasługę próżne. A więc zamiast stowarzyszeń rewolucyjnych i klubów prosimy księży najpokorniej o nasze dawne a pocziwe bractwa, o ich ożywienie i o ich zużytecznienie.

Duchowni katolicy, dzięki bezżeństwu, mają dużo więcej czasu i swobody niżeli ludzie świeccy troskami gospodarstwa i wychowaniem rodziny zajęci; dla tego łatwiej im jest uprawiać także rolę nauk i umiejętności również jak i literatury. Mimo zajęć, do stanu przywiązanych, są jeszcze chwile, któreby kapłani tej pożytecznej a przyjemnej pracy poświęcać mogli (tak, jakto ich zacni poprzednicy w zeszłych wiekach czynili, a którym największą część bogactw naszej literatury winni jesteśmy).

Odpowiedzą może, *iż nie ma czasu na to*. O jest! bo poprzednicy więcej się modlili i więcej około zbawienia

dusz pracowali, a starczyło im chwil na pisanie ważnych dzieł czyto religijnych, czyli też historycznych. Ale znowu zdaje mi się słyszę drugą wymówkę, iż *nie ma fundusów*. Ależ do pisania nie trzeba fundusów, jeno ochoty i pilności; gdy zaś będzie rzecz dobra, to wierni wydrukują.

O czém tu pisać? zapytają. O Bogu i o ludziach, o Stwórcy i o stworzeniu; o niebie i o ziemi; o kolébce i o grobie; o rzeczach przeszłych i przyszłych; słowem: o wszystkiém, co buduje, uświęca i podnosi z upadku społeczeństwo. Mowa ojczysta jest pod bezpośrednim dozorem i opieką duchowieństwa; bo coż jest właściwie *mowa*, jeżeli nie zewnętrzny objaw *słowa*? jestto forma, ciało, odzież *słowa*. Że zaś rozprowadanie słowa czyli nauczanie jest kapłanów obowiązkiem, przeto i wykształcenie *mowy*, czyli zewnętrznych *znaków ducha*, do księży należy.

W innych krajach duchowieństwo nie da się wyprzedzić świeckim ludziom w nauce; święte zaś krasomowstwo staje się niemal szkołą i wzorem dla literatów i mowców narodowych a razem pomnikiem każdowiecznego postępu mowy ojczystej. U nas też tak bywało, dopóki księża dawali dobry kierunek pracom swoim i patriotycznym uczuciom.

Zarzucają mi jednak niektórzy *trudność wykształcenia się*. Prawda, iż zakony dziś są w rozburzeniu, a seminarya w upadku; ależ dobry uczeń douczy się i w domu, czego niedosłuchał w szkole. Są dawne wzory, a biblioteki, chociaż źle utrzymane, ale zawsze istnieją; można się więc przy pomocy Boskiej i pilności wykształcić.

Tłómaczenie ojców i doktorów kościoła byłoby ważną pracą, któraby życie kilkudziesiąt kapłanów zająć mo-

gła. Spisanie dokładne historyi naszego kościoła byłoby też nader patriotyczną pracą. Wreszcie całej części archeologicznej kraju naszego mało kto dotknął, i winniśmy dopiero staraniu świeckiej młodzieży odkrycie ważnych historycznych pomników. O! pole jest piękne, grunt doskonały, a tylko chętnych pracowników mało.

Lecz kiedy tak natrętnie upominamy się u kapłanów o ich obowiązki, to też słusznie jest spojrzeć w koło nich, i ocenić przeszkody, jakie ich otaczając utrudniają spełnienie świętego powołania. Przyznać należy, iż gdyby kto żarzącą głównią albo pochodnią bryłami lodu obłożył, toby zagasnąć musiała; dla tego też, kiedy spojrzymy na społeczeństwo, wśród którego księża pracują, to ani się dziwić można, że im ręce opadają, i że pod ciężarem pewnego ucisku tylko żyją, dla przechowania prawdy a nie dla jej rozwinięcia; tak jak drzewo wśród zimy, które nie rośnie ale wegetuje. Siał ciągle na skale i nigdy się plonu niedoczekać, to się i uprzykrzy i nader rzecz niewdzięczna. Siał na pole złym zielskiem zarostem, smutnym jest i niekorzystnym. Ale siał pszenicę, a oset i pokrzywy zbierać, to do rozpacz i zniechęcenia przywodzi.

Ksiądz siał przez godzinę dobre ziarno, a szatany różnego rodzaju siał przez dwadzieścia trzy godzin kłokol. Ksiądz wypławi złe dzisiaj, a jutro toż samo bujnięj odrośnie; ksiądz ochrzci dziecko na katolika, w krótcie podrostek już przeczyć zaczyna; młodzieńcem żyje jak rozpustnik, starszym jak poganin, i zadąbieje na starość w grzechu tak, że często umiera ku potępieniu.

Ksiądz łączy sakramentem małżeństwa stadło, które sobie wieczną wiarę przed Bogiem ślubowało, tym czasem w krótcie wiarołomstwo, cudzołóstwo, osłabia święte

ogniwa i ślubowi uwłacza, w wielu zaś razach nieprzykładny rozwód przecina węzeł, którego na ziemi żadna siła naruszać nie może i nie powinna.

Ksiądz w imię Boże odpuszcza grzechy, i uradowany pozyskaną dla Boga duszą, patrzy się z pociechą na pokutującego, jakby ogrodnik na szczep uzacniający dziką płonkę. W tém szczep się nie przyjął, a płonka znów kolczaste rozwija gałęzie.

Ksiądz spełnia ofiarę najświętszą w kościele, i obraca się do wiernych mówiąc: „Bóg z wami; módlcie się Bracia, wnieście serca ku Bogu!“ a tu prócz *ofiary, ofiarnika i posługacza* nikogo niema w świątyni pańskiej.

Ksiądz duchem Bożym natchniony, wiarą zagrzany, miłością bliźnich pobudzony, wydobędzie z pod duszy cały zasób prawdy, dotknie się gnijących ran społeczeństwa, aby je oczyścić, uzdrowić, a chorzy krzyczeć poczynają: „On mnie uraża, on mi rany świeże rozdzięra!“ Ksiądz milczy, i nic nie mówiąc modli się za grzesznika, a ten woła: „Ksiądz o mnie niedba, ksiądz mógłby a niechce mnie uzdrowić!“ Kapłan wyrzuca grzechy publiczne narodu, radzi pokutę, stręczy poprawę, a rzesza bluźniąc woła: „On Polsce uwłacza, on wdaje się w politykę, on naród oczernia!“ Kapłan mówi o Bogu, o prawie jego, o potrzebie zbawienia się indywidualnego, a gmin mrczy: „Ze ksiądz nie patriota, bo o Polsce nic nie mówi!“

O! trudne jest powołanie księdza w zepsutym i upadłym narodzie. Ciężki stan, i niełatwy do pogodzenia w okolicznościach, wśród których żyjemy. Kiedy się kto bezstronnie nad ogólném położeniem zastanowi, to się raczej podziwiać musi, że tak mało dają księża zgorzenia. Wreszcie z kądżeto są ci księża? czyliż ze słońca spadli? Oni wychodzą z łona naszego społeczeństwa, są ko-

ścią z kości naszych; a więc są jeszcze dla nas za dobrzy, bo my dużo gorsi od nich jesteśmy. Oni przynajmniej służą Bogu, a my komu?...

Często uskarża się społeczeństwo na niskie wykształcenie kapłanów; wyrzuca im twardość i rubasność form towarzyskich, i w tém ma poniekąd słuszność. Lecz pytamy się: kto temu winien? Dawniej, dopóki zamożniejsze rodziny dawały panu Bogu świętą w swych synach dziesięcinę, i dopóki miały sobie za szczęście, gdy jeden z rodziny poświęcał się stanowi kapłańskiemu; dopóki dzieci szlacheckie lub mieszczańskie, odebrawszy staranne w domu wychowanie, dostarczały społeczeństwu kapłanów, mających obok gorącości ducha łagodny i przyzwoity układ; dopóty mieliśmy dobór znamienitych duchownych. Dzisiaj ubogi nawet szlachcic woli oddać pięciu synów do wojska, lub zakopać ich w lichéj dzierżawie, jak poświęcić służbie Bożej. Matki zanoszą się od płaczu, gdy syn ich oświadcza się z zamiarem zostania księdzem (bo najpełniejszy stan życia kapłańskiego ze śmiercią niemal równają.) Dla tego téż, gdy *zaproszeni na gody wymawiają się*, a przecież chwała Boża uszczərbku cierpieć mie może, wysyła *pan* sługi swoje, aby sprosili kaléki i ubogie, a zapełnili dom pański biesiadnikami. Kto więc wyrzeka na zły dobór duchowieństwa, niechaj sposobi synów na księży lub sam się temu stanowi poświęci.

Z drugiej znowu strony wyznajemy, że w tak małym szacunku mamy kapłanów i tak ich lekko traktujemy, że oczywiście rażąc ich i odstręczając od siebie, z własnej winy w niższą warstwę społeczeństwa ich popychamy. Że zaś przysłowie niesie, iż: „Kto z kim przestaje, takim się sam staje.“ przeto nasi plebani i wikaryusze, oddaleni od wzo-

rów polerowniejszego układu, rdzewieją, dziczeją i nabywają tonu rubasznosci od niższych warstw społeczeństwa.

Nic pospolitszego u nas jak narzekanie na duchowieństwo, i nic powszedniejszego jak stawianie przeszkód, aby nie było lepsze. Ktożto bowiem o to dba i o to się stara! Ktoż barków nadstawi, aby kapłana podnieść i poprzyć jego prawa a przysporzyć mu powagi? Każdy księdz radby z funduszów ogołocić, dochody kapitulne i zakonne oraz zakładowe uszczuplić, seminarya zubożyć, a nikt ani pomyśli o zakładach przygotowawczych, i o uposażeniu domów duchownych. Nikt też moralnie nawet księdza nie wesprze i miłością a uszanowaniem nie otoczy, tak, iż kapłani są dziś w naszym społeczeństwie jak kościenie z których ciało opadło.

Jeżeli więc szukamy źródeł upadku duchowieństwa, to szukajmy ich najprzód w nas samych, a pewno znajdziemy w naszej bezbożności główny powód złego. Oddziaływanie duchowieństwa na społeczeństwo, jak i nawzajem wpływ społeczeństwa na księży jest zupełnie równy, i gdybyśmy byli lepsi, toby i księża z łona naszego wychodzący byli dobrzy. Pakt więc federacyjny między duchowieństwem a społeczeństwem świeckim jest konieczny i zawiązanie solidarności niezbędne; do tego zaś nowego sojuszu co rychlej zmierzać powinniśmy tak, aby stan duchowny nie był po za społeczeństwem ale w społeczeństwie, i stanowił z narodem *jedno*, jako dusza i ciało w żywym człowieku jedno stanowią. Ktoż ma zaś pierwszy krok uczynić? bez wątpienia my świeccy; a na jakim gruncie, czy politycznym, czy religijnym? Śmiało radzę, aby na gruncie tylko czysto religijnym i duchowym; albowiem: *Szukajmy przede wszystkiem królestwa Bożego, a reszta w dodatku będzie nam przydana.*

O stosunkach obywateli z władzą.

Jakakolwiek jest władza i jakąbądź drogą przychodzi, zawsze uważana z punktu zasady ma źródło w Bogu i jest delegacją rządów Bożych. Władza zła i surowa zesłaną jest jako kara na grzeszny naród, a władzę dobrą daje Bóg w nagrodę wiernemu ludowi. Pierwszą cierpliwie znosić jako pokutę a za drugą Opatrzności dziękować, obiedwie zaś szanować i obu słuchać należy (o ile nic przeciwnego prawu Bożemu nie nakazują). Ta zasada uszanowania i posłuszeństwa dla władzy nie ulega ani przedawnieniu, ani zmianie; jest ona konieczną, a dla szczęścia i pokoju świata niezbędną. Przykład tego poddania się władzy dał nam zbawiciel (Bóg-człowiek), gdy stawał przed Piłatem, a jemu nad sobą władzę z góry daną przyznał.

Tę zasadę za wzorem Pana i mistrza naszego potwierdzili wszyscy Chrześcianie w pierwszych wiekach, będąc w sprawach doczesnych władzom pogańskim poddani, i służąc wiernie w szeregach prześladowców swoich ku obronie całości państwa. Odznaczali się też największą karnością, posłuszeństwem i odwagą, a sprawując wyższe urzędy, nigdy żadną zdradą ani podstępem charakteru chrześcijańskiego nie splamili. Duch zatem wiary naszej jest wyraźny w tym względzie, i nigdy Chrystus Pan ani słowem, ani czynem, do buntu przeciw władzy jakiegokolwiek nie upoważniał. Był poddanym matce swojej i przybranemu ojcu; był posłusznym ówczesnemu kościołowi i jego władzy duchownej; zniósł bez szemrania straszny wyrok wydany na siebie przez władzę świecką, a posłuszeństwo w najmniejszych nawet sprawach przekazał uczniom swoim i wiernym, dając Piotrowi rozkaz złożenia podatku do skarbu od niego i od siebie, pomimo, iż nie czuł się do niego zobowiązany.

Lecz obok posłuszeństwa i uległości dla władzy należy się od Chrześcian *prawda*, czyli to szczeré i sumienne postępowanie z rządem, które wszelki wzajemny stosunek ułatwia, czyni jasnym i usuwa wzajemną podejrzliwość i obawę.

Prawda, wszędzie, zawsze i we wszystkiém, znamionować powinna Chrześcianina, a nie ma żadnego powodu, któryby od niej uwalniał. Nieszczerość władzy nie upoważnia nas do odwetu, bo my za władzę sprawy przed Bogiem zdawać nie będziemy, jeno za siebie. Prawda więc w duszy, w słowie i w czynie, oto jest broń Chrześcianina tak odporna jak i zaczepna; prawda połączona z godnością i szczerą uległością, oto jest droga, przez którą się dochodzi do zaufania, a z zaufania do wolności przyzwoitej, rozsądnej, i na czas możebnej.

Nie ma rządu, choćby najbardziej surowego i niechętnego, któregoby postępowanie podwładnych szczeré, jawne i sumienne nie rozbroiło i ku łagodniejszym środkom nie zniewoliło. *Prawda i miłość*, sąto potęgi, którym nic oprzeć się nie zdoła, a w człowieku szczerým i kochającym jest taka siła, iż bezbronny może walkę stoczyć i zwyciężyć z nieprzyjacielem w miecz uzbrojonym. Sprawiedliwość Boża jest z natury swojej niecofiona i ostateczna, albowiem jest przymiotem najwyższego sędziego (od którego nie ma apelacy), a przecież człowiek miłością swoją wyrok sprawiedliwości Bożej nad sobą cofnąć lub złagodzić może. Coż więc dopiéro mówić o władzy ludzkiej, która w surowości samej jest lękliwa i oględna, a nie mając ani wszechmocności ani nieomylności, szuka jój w narodzie i szuka zdania i siły w dobrej radzie podwładnych? A więc pewno i niezawodnie: wszelka władza byłaby dobrą i sprawiedliwą,

gdyby ci, którzy ją otaczają, byli ludźmi prawdy i miłości; gdyby naród, zamiast kusić się na jej przewrócenie, pracował raczej nad urządzeniem jasnych i szczerých z nią stosunków.

Skarzymy się zwykle, iż władza działa wbrew naszym życzeniom; to prawda, ale też to łatwo się tłumaczy; bo dzisiaj władza nie ma czasu rządzić nami, ale ciągle musi walczyć, ciągle ją trzymamy w odporném względem nas stanowisku. I aby rząd nas posiadał, podbijając nas musi, a sam czując się w obłęzeniu wszystkie środki swobodnych ruchów nam odbiera. Ciężkito i okropny taki stan, w którym *pokój* okupuje się niewolą, i w którym naród i rząd, mając dwa sobie przeciwne cele, wtenczas tylko nie walczą z sobą, gdy się nie spotykają, lub gdy ich siła hagnetów rozgranicza.

Są zapewne położenia, w których sojusz jest trudnym lub niepodobnym; ale nie ma położenia, w którémby fałsz i zdrada względem władzy mogła być usprawiedliwioną. Nie ma celu żadnego na tym ani w przyszłym świecie, któregooby drogami fałszu dochodzić było wolno; i dla tego chociaż można z władzą jawnie i szczerze być przeciwnego zdania, to nie wolno jej zdradzać ani oszukiwać.

W tym wieku zupełnie zwichnięte są pod tym względem wyobrażenia, i zręczność w fałszu jest niemal podniesioną do godności patryotyzmu. Im kto w głębszej jaskini czarniejsze spiski knowa, tém większy ma być człowiek, i tém poświęćniejszy obywatel. Dawniej przyznawano w królestwie nawet zwierząt wyższość śmiałego lwa nad wężem; dzisiaj zaś między ludźmi więcej zdaje się mieć ceny podstępne działanie od jawnego, odważnego i poważnego wystąpienia. Ludzie już ani zgadzać się z sobą i kochać się wzajemnie, ani też z sobą otwarcie

walczyć nie umieją, ale podstępnie doły kopiąc, paści zastawiając, nie w biały dzień w obec Boga i własnego sumienia, ale w ciemnej nocy na siebie polują, i dla tego najczęściej: „Ten, który dół wykopie, sam w niego wpada.“ Z powodu więc modnego *fałszu*, który stał się zasadą postępowania, podejrzliwość wzajemna do tego doszła stopnia, że już władza boi się prawdy słuchać, z obawy, aby i ona nie pokrywała jakiejś utajonej zdrady; i naród też dobrodziejstwa ze wstrettem przyjmuje, lękając się, azaliż w nich śmierci nie połknie. Gdyby stan taki istniał w małym nawet kole znajomych albo rodziny, toby był prawdziwym na ziemi piekłem, coż dopiero, jeśli się to dzieje na wielki rozmiar całego społeczeństwa! Dokądże to zajdziemy? i na czémże się skończy ta podjazdowa herca? Trzeba koniecznie zerwać z zasadą *fałszu*, i zerwać z nią odważnie, mężnie, a powrócić do zasady chrześcijańskiej: *prawdy* i miłości, a przynajmniej początkowo do *sprawiedliwości*. *Fałsz*, to rzeczywiście jest jak *koło zakłęte*; im więcej człowiek się na tej drodze zapędza, tém więcej się błąka, a po zmordowaniu i utracie sił, zdrowia i pokoju, powraca z kąd wyszedł, i nic mu drogi nie przybyło. *Fałsz*, to jak łączna trzęsawica, w której im bardziej człowiek się ratuje, tém głębiej grzęźnie, aż w końcu cały się zatopi i ginie. Trzeba więc raz odszukać pewną drogę, stanąć na gruncie rzeczywistym, i z danego położenia największą korzyść na chwałę Bożą i dobro nawet doczesne narodu wyciągnąć.

Dotąd zawsze łudziliśmy się fantazją, iż władze, które nami rządzą, będąc nam obce, wcale nas nie obowiązują, i dla tego chcieliśmy żyć jakby w bezkrólewiu! Nie wchodzę w to, o ile rządy dogadzają naszym narodowym uczuciom, i nie wiem, jakie Opatrzność ma za-

miary, że im panowanie nad nami powierzyła; ale tylko zwracam uwagę na ten jeden punkt: iż władza *jest rzeczywiste*, i że musimy jęj być uległymi. Otoż: skoro *jest* i skoro nami rządzi, to musimy ją najprzód przyznać (bo jęj zaprzeczyć nie możemy), a przyznawszy, musimy jęj słuchać, i między nią a nami stosunek prawdziwy urządzić. Do dziś dnia cały nasz rozum polityczny opierał się na negacyi czyli *przeczeniu*, a środkiem użytym ku walce z rządem był sarkazm i drażnienie, a w innych razach podejście. Że zaś nie ma wyższej obrazy ducha nad szyderstwo, a również nic nie wywołuje większego oburzenia jak zdrada, przeto władza, która rzadko poważne i rozsądne żądania miała sobie przedłożone, ale zawsze pokątną opozycją drażniona, z boku szarpana, lub z dołu podkopywana, opędzać się na wszystkie strony była zmuszoną, wyrobiła też w sobie systematyczną nieufność, i nie tylko granicy swobód w państwie nie rozszerzyła, ale ścieśniała nawet i te, które w innych okolicznościach jęj powadze i sile żadnegoby nie przyniosły uszczerbku. Bo zawsze oddziaływanie rządu ma się w stosunku prostym do wyzwu przez naród rzuconego, i o ile ten wyzw jest groźniejszym, o tyle sroższemi są środki poskramiające.

Władza przeciwko *oburzeniu* i opozycyi poważanej nie ma siły ani broni, ale ją ma przeciwko *wzburzeniu*. W pierwszym razie naród staje w obronie pogwałconej jakiejś zasady, a w drugim władza (postawiona ku utrzymaniu ładu) staje w obronie praw swoich, i jeżeli zwycięży, to pobici sami, zrywając z ustawą obowiązującą, stają się jęj niewolnikami i tracą prawo do tych nawet swobód, których dawniej używali! Cały więc rozum i roztropność narodu na tém zależy, aby tak szczerze po-

stępować z władzą i w takiej postawić się prawdzie, iżby żadnej swobody niezmarnować, a zyskiwać sobie prawo do otrzymania coraz większych i rezleglejszych wolności.

Wielu tę politykę potwierdza i dzieli, lecz chcieliby ten sam skutek osiągnąć drogą pochlebstwa, dworactwa i upodlenia, myśląc, iż rząd prędzej tém środkiem znie-wołą, podejda i zyskają jego zaufanie. Brzydkato droga i niewdzięczny środek; bo pochlebstwo jest *fatszem* tém nieznośniejszém, iż w niezgrabnej jego formie każdy się kłamstwa dopatry. Jestto zdrada przyprawna egoizmem i podłością; albo jestto wszeteczeństwo duchowe, z którego władza chwilowo korzysta, a potem zbezczeszczone na pastwę wzgardy publicznej pomiata. Na ramieniu pochlebców żadna władza długo się nie opiera i równie się ich obawia jak burzycieli, a nawet mniej ma dla nich szacunku. Otóż między pochlebstwem a zuchwalstwem jest droga pośrednia: poważnej i sumiennej uległości z zachowaniem szlachetnej niepodległości ducha i chrześcijańskiej godności. Jest droga, mówimy, która w rządzie nie obudza ani obawy ani podejrzenia, a pobudza do szacunku, ostrzega rząd a nie zastrasza, kontroluje a nie podgląda i nie przesądza; słowem jestto droga prawdy czyli prawości.

Władza pocziwa i wedle Boga rządząca czyni naród pocziwym i moralnym, ale też nawzajem naród moralny i ustaw Bożych przestrzegający wpływa na moralność władzy. O ile więc naród stanie się pocziwyszym, o tyle władza będzie lepszą, gdyż ona jakby wierzchołek drzewa rośnie sokami pnia, z którego wyrasta.

Dziś władze i narody oczekują na siebie, wyzywając się do poprawy, a nikt pierwszego kroku uczynić nie chce. Zamiast się porozumieć tracą one coraz więcej na ko-

niecznej wyrozumiałości i wzajemnym dla siebie pobłażaniu, i rosną w nienawiści i nieufności, w oddaleniu i przeciwieństwie. Władza mówi do narodu: *Upokórz się, a złagodniej!* Narody zaś odpowiadają władzy: *Daj nam wolność a pogodzimy się z tobą!* Lecz władza tej wolności dać nie chce, bo widzi wszędzie onej nadużycia, a wreszcie zuchwale się o nią narody dopominają, i ledwo rozwiązane rzucają się na władzę, a berło jój z rąk wytrącać kuszą się. Rządy téż coraz więcej krepują narody w ich swobodach, a ludy coraz groźniej potrząsają kajdanami, i gryzą ze wściekłością uciskające ich wędzidło. Ktoż więc zacznie pierwszy krok ku zgodzie?...

Mnie się zdaje, i otwarcie téż życzę memu narodowi, aby on początkował sojusz szlachetny, poczciwy, a nader pożądany. Coż bowiem przyjdzie nieszczęśliwemu narodowi z tej naszej *donkiszoteryi*, którą się bawi i łudzi kilkunastu niedorostków, kosztem powszechnej niewoli?.. Co mu przyjdzie z tej ciągłej walki z władzą, w której nie tylko przegrana ale i wstyd jest zawsze z naszej strony? Lepiej i słuszniej jest kraj *zbawić* jak się *w niego bawić*; a że drażnienie władzy krajem, to brzydka i niebezpieczna zabawa, przeto z serca życzę memu narodowi, aby jój zaprzestał. Zapewne, iż nie ma i może nie było żadnego Polaka, któryby ku szczęśliwszej przyszłości tęsknej myśli nie zwracał i nie żywił w sercu choćby odległej ale pocieszającej nadziei; lecz czyliż ta nadzieja przeszkadza przyznać dzisiaj fakt rzeczywistej władzy i dopełnić względem niej obowiązków, jakie Bóg i okoliczności na nas wkładają? czyliż wolno popełniać samobójstwo w nadziei przyszłego zmartwychwstania?..

Zdaje mi się, iż nam się już nic z życia narodowego uronić nie godzi, bo chwile nasze są policzone, a najmniejsze nadużycie sił konieczną śmierć nam przybliży. Należy więc tak postawić się z władzą, iżby nam pozwoliła przynajmniej rozwijać się w tych swobodach, jakie nam się jako ludziom i jako Chrześcianom należą, a które w niczem ani jój powadze ani jój prawom niewłaczają. Nie możemy wymagać, bo jesteśmy słabi i pod karą, lecz możemy prosić, ta bowiem droga dla nikogo nie jest zamkniętą. Prośmy zaś tylko o to, co władza dać może; a każdy łatwo przewidzi, jak daleko żądania narodu w chwili obecnej uwzględnionemi zostaną. Nie domagajmy się rzeczy wielkich ale najpilniejszych i niezbędnych, a o te prośmy usilnie, nie zrażając się ani zwłoką ani trudnościami. Rząd często opóźnia z umysłu przyznanie słusznych nawet wymagań, a to dla przekonania się, czyli pod tém żądaniem rzeczy dobrej i z natury swojej niewinnej nie mieści się jaki utajony zamiar i cel uboczny. Tęj ostrożności i podejrzliwości samiśmy rząd wyuczyli przez nieszczerę i fałszywe z nim postępowanie.

A więc trzeba teraz wywołać obawę władzy i jój nieufność znosić z pobłażaniem i cierpliwością, a przy dobrém żądaniu upierać się z wytrwałością, i prosić ciągle i nieustawać, a uzyskanych swobód lub dobrodziejstw z największém używać umiarkowaniem, aby rząd nie żałował uwzględnienia naszej prośby. Swoboda powierzona przez władzę narodowi jest jak depozyt, z którego w każdej chwili wolno zażądać liczby, i z którego naród winien się uczciwie wyrachować. A dla nas biednych to każda swoboda jest jak pożyczka, z której dorabiać się powinniśmy z największą ostrożnością, składając na nasz majątek każdy grosz przyrobiony; bo w lada chwilę mogą

zażądać zwrotu kapitału, i znów dotkliwie cisnęłoby nas ubóstwo. Nie żądamy nigdy wiele rzeczy odrazu, gdyż by nam wszystkie odmówione były; bo rząd jak kapitalista na pewne tylko hipoteki pożyczka, a prawdę mówiąc: hipoteka moralna narodu naszego w obec władzy trochę obciążona. Gdy więc zażądamy dużo, to nic nam nie dadzą; prosimy o mało, a skoro się władza przekona, że jesteśmy sumienni i rzetelni w małym, to da później i więcej. Nie mieszajmy nigdy do naszej prośby pochlebstwa i fałszywych obietnic a zaręczzeń zbyt uniżonych i niesumiennych; ale niech nasza prośba będzie jasna, prosta, ścisła, i niechaj tchnie obok uszanowania godnością i prawdą.

Rząd nas zna doskonale i wie, jak ma ocenić pochlebstwa nasze! Styl taki więcej go razi jak zniewala, i właśnie tej karmelkowej słodyczy i uległości mniej ufa jak szczéremu i prostemu wykładowi rzeczy. Wreszcie słabym i zwyciężonym jedyny skarb pozostaje w *godności*; niechże go strzegą: bo nie ma większej i cięższej niewoli jak upodlenie ducha.

Powszechnie jest narzekanie narodu a żal do władzy poniekąd słuszny, iż nasyła w kraj obcych ludzi na urzędy publiczne, ludzi, z miejscowością, ani z potrzebami ani z obyczajami narodu nieobznajomionych; ludzi, mówimy, którym porozumienie się z rządzonymi tém jest trudniejsze, iż ani mowy naszej nie rozumieją, ani stosunków społeczeństwa nie znają. Gdyby większa część winy nie była z naszej strony, tobyśmy ten żal narodu naszego podzieliali. Jednak przez szacunek dla prawdy, i w tym razie nas samych więcej aniżeli władzę oskarżać musimy; albowiem w epoce patriotyzmu negacyjnego powszechnie prawie dano sobie słowo, iżby nie przyjmować urzędów, z ra-

mienia obcej władzy płynących i *nieśłużyć cudzym panom*. Młodzieży więc ani do urzędów nie sposobiono, ani też szlachta o takowe ubiegać się nie chciała. Ci zaś, których stosunki majątkowe do przyjęcia służby publicznej skłoniły, byli przedmiotem ciągłego prześladowania i niemal wzgardy powszechnej. Wyłączano ich ze społeczeństwa narodowego, obciążano obelgami, otaczano podejrzliwością, słowem: tak nienawistna a często niesprawiedliwa ścigała ich opinia, iż nie tylko oni potem już zniechęcali się do narodu i tracili wszelką z nim spójność, ale i inni, bojąc się podobnego losu, woleli zdolności zmarnować, życie zmitrzyć, młodość rozprószyć w drobnej monecie zabawy, gry i próżnych zajęć, jak służyć krajowi w publicznym zawodzie.

Władza zatem, chociażby była chciała obsadzić urzędy ludźmi krajowymi, to dwie główne w tém napotykała przeszkody: brak właściwego uzdolnienia krajowców i niechęć poświęcenia się służbie publicznej, która się tak wyraźnie w narodzie objawiała. Niemożemy więc za złe poczytywać władzy, iż do pomocniczych urzędów powoływała obcych ludzi, w których miała zaufanie i którzy dawali jój rękojmią zdolności i posłuszeństwa, i gdybyśmy byli na jój miejscu, to samobyśmy uczynili. Lecz właśnie wada i grzech nasz w tém leży, iż my ani władzy nie rozumiemy, ani się nigdy w jój położeniu nie stawiamy, lecz ją sobie idealizujemy, i pragniemy mieć powolną a nawet posłuszną naszym szczegółowym życzeniom, nadziejom lub fantazyom.

Wtenczas urząd mamy za dobry i sprawiedliwy, gdy on dla pojedynczych spraw naszych gwałci ustawę lub obchodzi prawo. Wtenczas urzędnika nawet obco-krajowego chwalimy, gdy on z władzą naczelną wspólnych

nie ma celów, lecz one dla naszej dogodności poświęca. Zapominamy: iż urzędnik jest stróżem i wykonawcą prawa a nie onych gwałcicielem; dla tego żądamy często usług i ustąpień, których urzędnik bez obrazy własnego sumienia uczynić nie może. Te zaś żądania i wymagania nasze posuwamy jeszcze dalej w stosunkach z urzędnikiem narodowcem. U tego dopominamy się nie tylko o obejście prawa ale i o zdradę stanu. Zdaje nam się, iż korzystać powinien taki urzędnik ze swego położenia ku osłabieniu władzy, ku utrudzeniu jej rządów i ku rozwiązaniu nas z obowiązków zależności. Kusimy go przeto wszelkimi sposobami, gramy na stronie jego patriotyzmu, albo łechcemy jego próżność; sumienie jego porywamy kamraderyą lub zachwiewamy pogroźkami; słowem, dopóty pracujemy, dopóki albo nie strącimy urzędnika z jego stanowiska wierniej służby, lub też nie zerwiemy z nim narodowej łączności. W pierwszym razie władza oszukana odbiera urząd przychylnemu nam stronnikowi, a w drugim urzędnik, widząc sprawę nie dopogodzenia, a chcąc się utrzymać na swój posadzie, zrywa z narodem, przechyla się całą duszą ku władzy, i staje się nawet surowszym od obcokrajowego, bo chce przekonać zwiérchność swoją, iż nieulega pokusom i stoi wiernie przy swoich zobowiązaniach.

Naród ma prawo wymagać po urzędniku sprawiedliwego wykonania i zastosowania prawa; może się domagać łagodnego i uprzejmego postępowania; cierpliwości w przyjęciu objaśnień; pośpiechu w załatwieniu naglącej sprawy; bezstronności w przedłożeniu wyższej władzy życzeń pojedynczych lub zbiorowych; lecz na tém się kończy zakres wymagań ze strony rządzonych, i zakres przywileju pośrednich urzędów. Kto więc urzędnika do większych ofiar kusi, naraża własne i jego sumienie. Lecz

i ten zakres tak jest szeroki i rozciągly, iż gdybyśmy szczerze, jawnie, sumiennie w stosunku z rządem stanęli, toby srogość ustaw mniej nas dociskała, i urząd mógłby się częściej i śmiejiej za nami u władzy wstawić i o nasze prawa upomnieć. Wszakże nie dziwno jest, że tego nie czyni i nie śmie; albowiem przyzwyczajonym jest do wyrobionėj w obywatelstwie strategii oszukiwania prawa.

W naszym patryotyzmie negacyjnym liczono prawie na karb zasługi i cnót obywatelskich, gdy kto umiał podejść władze lub urzędnika, czyli gdy umiał (mówiąc wyrazem używanym w tej materii): *Okpić Niemca lub Moskala*, i nawet wyrosło u nas przysłowie: *Sztuką Niemców tłuqa*. Otóż w tém jest fałsz i nierozum: bo najprzód ta sztuka służy tylko na raz jeden, a powtóre choćby się udało i razy kilka, to nikogo droga fałszu daleko niezawiedzie. Takie postępowanie jest wprost przeciwne duchowi chrześcijańskiemu, który jest *duchem prawdy* i niezapewnia zwycięstwa tylko *prawdzie*; przeciwne też jest interesom ziemskim, gdyż władza oszukana potem już i prawdzie nie wierzy, a nawet słusznych życzeń nieuwzględni.

Lecz strategia ta nie tylko jest zła, ale nawet i nierozumna; bo trudno przypuścić, iżby szlachcic polski, rolnik, z trybem rządowej organizacyi mało oznajmiony, a z charakteru prostoduszny, umiał oszukać władzę, która w ręku trzyma wszystkie nici społecznego urządzenia. Kłamstwo więc każde, choćby we floryturę wiejskich conceptów ustrojone i w słowa piękne obwiniete, nie ujdzie wprawnego oka urzędników. Cofną się oni w głębsz sprawy, przywołają w pomoc archiwa, rozłożą zakurzone akta przeszłości, i tak potrafią z anatomizować podanie, życzenie, cel najbliższy i cel najdalszy, iż kwiaty, zdo-

biące fałsz, po jednym odpadną, a zostanie się tylko nagi koścień kłamstwa. A więc złato jest droga owa uboczna, i szczerze życzę mojemu narodowi, aby jej odstąpił a szedł prosto i jawnie.

Lecz na to słyszę odpowiedź: *Cóż robić? kiedy rząd z nami tej drogi używa, więc my się też bronimy.* Jeżeli rząd tak czyni, to jego grzech a nie nasz, i my dla tego ani do kłamstwa, ani do zdrady nie jesteśmy upoważnieni. Wreszcie rząd nie ma potrzeby względem nas używać podstępu, bo ma siłę, i co chce, to na nas wy może; a gdyby używał, to go w tej broni nieprzewyższymy, bo on ma ku temu wszelkie środki, my zaś żadnego. Otoż postawmy mu naprzeciw jedyny nasz arsenał, to jest: *prawdę i nasz ucisk; prawdę*, mówię, otoczoną godnością i pokorą; *prawdę jasną, czystą, pogodną.* Zawsze się zapatrujemy na Chrystusa stojącego przed władzami, i na pierwszych chrześcian żyjących pod panowaniem cesarzów Rzymskich; oni dla nas są jedynym wzorem i oni nas w przykładach uczą polityki.

Jest też wada w narodzie naszym, która jest dość powszechną a plami charakter narodowy; tą zaś jest zbytnia uległość w obec urzędu, a lekkomyślne zuchwałstwo i obmowa poza oczy. Gdy mamy interes w rządzie, to grzbiet sobie w pokłonach łamiemy, i usta nam się do uścisku składają; mówimy o władzy z taką czcią i miłością, z takim uniesieniem, jakby o matce albo o kochance; oburzamy się na jej nieprzyjaciół, zapewniamy o naszej wierności, troskliwie się dopytujemy o powodzenie władzy!... gdy zaś ledwo za drzwi wyjdziemy, zaraz jakobyśmy czuli wewnętrzną skruchę za fałsz i pochlebstwo, i chcieli powetować grzech przeciw narodowi: czernimy władzę, okładamy ją zarzutami, i nieszczędzimy

jój nagan i złorzeczenia. Jestto i niepoczciwe i niemądre; niepoczciwe, bo jest zdradą i obłudą, a niemądre, gdyż o takim postępowaniu rząd się zaraz dowie, i potem odpłaca nam pogardą a czasem i zemstą. Trzeba koniecznie wyprostować w sobie sumienie, i nigdy ani uległości do podłości, ani godności do zuchwalstwa nie posuwać, ale uszanowanie i uległość ofiarować władzy, a nadzieję i godność w sobie zachować.

Wielu znowu, szukając wzięłości i oklasków gminu w systematycznej względem władzy opozycji, chodzi z głową zadartą i nadawszy się stąpa zgóry szerokimi krokami, aby się o urząd nie obetrzyć, niczego od władzy nie żądać, o nic nie prosić, i udawać patryotyczną niezależność. W tém jest fałsz: albowiem gdy już jest w jakim narodzie władza, to każdy (czy chce lub nie chce) od niej zależeć musi i być z nią w ciągłym stosunku. Ona jest jak główne koło mechanizmu, za jego więc poruszeniem wszystkie mniejsze kółka się poruszają, zahaczone trybami kół pośrednich, i parte siłą muszą wejść w ruch powszechny. Kto więc w negacyjnym patryotyzmie niczego dla narodu od władzy nie żąda, nic też dla narodu nie otrzymuje,.... a czy lepiej z tém narodowi?...

Świeżo w narodzie naszym utworzyła się jakaś warstwa ludzi prawników, legistów, która się (nie wiem czy na prawdę, czyli też żartem) inteligencją przeważa. Ten znowu rodzaj ludzi jest w ciągłym procesie z władzą i wyzywa ją na artykuły a męczy paragrafami. Dotąd nie wygrał naród ani jednej sprawy na drodze tego ich pieniactwa, ale to zyskał, iż władza, znudzona tym rodzajem wojny, przemazała i artykuły i paragrafy, a siłę miecza rząd powierzyła.

W rządzie, to jest w stosunkach obywateli z władzą,

dwie są drogi: *prawna i polubowna* (officielle et officieuse); do pierwszej odwołać się może naród, którego powaga równowazy się z władzą jego własną, ale drugiej używa z lepszym skutkiem naród w cierpieniu. Trudnoć się bowiem słabemu z mocnym prawować, lepiej i skuteczniej ugodzić się i uprosić. Życzę więc mojemu narodowi, aby rozpoznał dokładnie swoje położenie, a nie dawał się wciągać przez *inteligencyą* (?) w procesa z władzą, ale polubownie sprawy swoje załatwiał przez ludzi rozsądnych, umiarkowanych i poważnych, przez ludzi kraj a nie siebie kochających.

Kończę ten rozdział tą sumienną uwagą: że jako zły syn własnego ojca w grób wpędzi, i jego niebłogosławieństwo na siebie wywoła: tak znowu dobry pasiérb najgorszego ojczyrna ku sobie zniewoli, i aż do pełnoletności w zgodzie pod jego dachem żyje. Tak téż naród grzeczny dobrej nawet władzy z łona jego wychodzącej nie uszanuje, ale ją z-bezczęści, i anarchią u siebie stworzy; kiedy poczciwy naród, religijny, cierpliwy, ufny, pod władzą obcą rozwijać się, kształcić, i budować może, a zbierać dla siebie zasługę u Boga i u ludzi. Niechaj więc Polska w miłości praw ojczystych ale w uszanowaniu i posłuszeństwie dla władzy zbiera te zasługi; niechaj porzuci drogę fałszu i bezsilnego zuchwalstwa, a rozwijając się w tém, co jój jest dozwoloném, niechaj zagoi blizny, które ją stawiają blisko śmierci, i pomału a ciągle pod błogosławieństwem Bożém powraca do życia szerszego i doskonalszego, bo w cierpieniu wyrobionego i pracą ducha oczyszczonego.

O stosunkach wewnętrznych społeczeństwa Polskiego.

W każdym narodzie dwie są wyraźnie oznaczone części (a niemal powiemy) warstwy społeczeństwa: jedna *rządząca*, druga *rzadzona*. Pierwsza źródło swoje czerpie albo w sile i bogactwie, albo w rodzie i ciągu zastug familijnych (i z tąd urosłej powadze i znaczeniu), lub w końcu w przewadze umysłowej i ducha. Słowem na ten podział społeczeństwa wpływają: ziemia, krew i duch, czyto z osobna i kolejno, albo też w pewnej z sobą kombinacji. Druga część składa się ze wszystkich bezwzględnie indywiduów do władzy nieusposobionych i tworzących bierny organizm narodu. Tak złożony naród porównaćby można do pojedynczego człowieka, w którym jest duch rządzący, czyli rozum i uczucie, a pod ich stérem zmysły, odbierające wrażenia i natchnienia ducha, jemu posłuszne, i czynne dopiero pod jego wpływem i kierunkiem. Słowem zmysły zewnętrzne w organizmie sąto siły i czynniki, przez które się duch wewnętrzny w świecie materialnym objawia.

Pomieszenie funkcyi ducha i zmysłów tworzy nieporządek i nieład całego organizmu; i dla tego w języku naszym (nad który nie ma rozumniejszego) stan szaleństwa pomieszaniem zmysłów się nazywa. W narodzie przychodzi także szaleństwo, nieład i choroba całego organizmu, gdy się wyobrażenia o władzy i podwładnych tak pomieszają, iż *surowa część*, która jeszcze do rządu nie jest wyrobioną ani powołaną, chce gwałtem rządzić kosztem drugiej części wyrobionej, czyli kosztem prawdy i rozumu. A nawzajem, gdy część społeczeństwa, piastująca rzeczywistą władzę, udaje, iż chce słuchać niż-

szej warstwy narodu i onęj być podległą. Z braku koniecznego rozgraniczenia *duchowej* części narodu czyli rządzącej od zmysłowej czyli rządzonej, wypłynął dziesięjszy nieład społeczeństwa, i dopóty on trwać będzie, dopóki naturalnym trybem rzeczy nie zrobi się przyzwolity *osad* niższej warstwy, mającej słuchać, a *uduchowienie* wyższej, mającej rozkazywać.

Chaos, w jakim żyjemy, jest też stanem przechodnim i do żadnej moralnej ani fizycznej zasady odnieść się nie da. Stan ten jest tyle niedorzecznym, ile rzucone w świat zadanie *wszechwładztwa ludu*, które w teorii sofistyczne, w zastosowaniu jest niemożliwe.

Nie masz większego ucisku dla ludzkości jak stan, w którym władza i wszystkie względne obowiązki w zagadkę są rzucone, albowiem nikt nie wie co ma czynić, i nikt nie zna swego właściwego stanowiska; ludzkość nie ma oznaczonej drogi ani celu, ale każdy wedle własnego domysłu posuwa się w prawo i w lewo, nudząc sobą i nic stałego nie podejmując. Nie wiem nawet, co może być zachęcającego dla ludzi w tej obwoływanej zasadzie wszechwładztwa? Nie wiem, dla czego ma być ludziom wygodniej iść bez przewodnika i roztrącać się na obłądnych manowcach samych tylko domniemań, i co im w końcu przyjdzie z tego podwójnego kłopotu słuchania i rozkazywania, kiedy dość biędy z dopełnieniem jednego oznaczonego obowiązku.

Wystawmy sobie w rodzinie ojca rodziny poddanego wszechwładztwu żony, dzieci i domowników, a pojmiemy, jak tam wszystko cierpi i jest w rozstroju i zamieszaniu. W takim stanie więcej może dzieci od ojca są do pożałowania, bo uciążliwszy jest dla nich przywilej rządzenia jak posłuszeństwa. Jako więc w rodzinie

ojciec ma przywilęj rządu, tak i w narodzie jest koniecznie jakaś warstwa, która nad innemi góruje i rządzi. Chodzi więc tylko o to, aby stosunek między rządzącymi a rządzonymi był ten sam, jaki zachodzi pomiędzy ojcem i dziećmi, i dla tego dopóty nie będzie dobrze na świecie, dopóki nie odszukamy w odwiecznym porządku układu patryarchalnego, nie natchniemy urzędzeń świeckich duchem zaczerpniętym w porządku moralnym czyli religijnym.

Założywszy więc podstawę naszego dowodzenia (niczem niezbitą a doświadczeniem stwierdzoną), iż każdy naród lub społeczeństwo składać się koniecznie musi z rządzonych i rządzących, czyli słuchających i rozkazujących, nie stawiam przecież dla nikogo wyłączonego i niesmiertelnego przywileju rządzenia, ani téż téj zasady nie przywiązuję bezwzględnie do siły i bogactw, ani do rodu, ani do samego rozumu; lecz powiadam, iż z jakiegokolwiek materiału warstwa się ta w narodzie utworzyła, zawsze musi ona zająć swoje stanowisko wyższe nad *osadem* czyli warstwą *rządzoną*, która z natury swojej musi być uległą i zawisłą, i że tém samym między pierwszą a drugą naturalna stanie granica: różnicy powołania, czyli różności towarzyskich obowiązków.

O ile zaś w ciągu czasów ludzie z wyższej warstwy zniżają swoje posłannictwo, o tyle prawem ciężkości gantunkowej spadają w osad i wracają do posłuszeństwa; o ile z drugiej strony ludzie pojedynczy z niższej warstwy wyrobiją się i uzdolnią do władzy, o tyle témże samem prawem podnoszą się do sfery rządowej. Nie chodzi mi więc o to, kto rządzi, i jak długo ma rządzić, ale raczej o to, aby rząd był ze sfery ludzi na czas do władzy powołanych i usposobionych.

Żadną sztuką, teorią i ludzką ustawą, nie da się warstwy rządzącej dorywczo utworzyć, ani wyrobu onej naturalnego ale długiego i stopniowego zastąpić. Można zapewne skłócić wszystko na chwilę, i taki zrobić chaos, iż męty wyjdą na wierzch, a lotny płyn będzie na spodzie; lecz za jedną chwilę lub też w krótkim czasie naturalny rozdział powrócić musi, i to tylko się na górze utrzyma, co się gatunkowo do wyższej warstwy podniosło.

Rozgraniczenie wszakże pomiędzy warstwą rządzącą a rządzoną nie wyłącza harmonii, która stapia zarówno wyższą jak i niższą warstwę w całość zbiorową, i łączy je wspólnością celu, uzasadnionego na tożsamości plemiennej, i na dogmacie religijnym i politycznym, będącym głównem zadaniem społeczeństwa. Złamanie tej harmonii ze strony władzy nazywa się despotyzmem, a złamanie onej ze strony ludu czyli części rządzonej nazywa się buntem, rewolucją, rokoszem. W pierwszym i w drugim razie wyradza się nieład, pochodzący z egoizmu i pychy, jako głównych rozczynników harmonii, porządku i pokoju, albo pochodzący ze *swawoli* czyli *wolności bezbożnej*.

Najdoskonalszy organizm narodowy jest w ten czas, gdy warstwa rządząca tworzy się naturalnie w skutku zasługi, cnót i poświęceń. Niższy organizm jest, gdy świecka nauka sucha, skąpa, a czasem sofistyczna, sama się na wyższe szczeble wynosi; mniej doskonała, jeśli się tylko na odziedziczonym przywileju opiera, bez dołączenia osobistych zasług i wartości; a najniższa, gdy w źródle siły lub bogactwa materialnego bierze swój początek. Wszakże często z dobrym skutkiem wszystkie te źródła wspólnie się łączą ku utworzeniu warstwy rządzącej, i tak też było

w Polsce przed zwichnięciem zasadniczych ustaw naszego chrześcijańskiego społeczeństwa.

Szlachta polska, z powodu własnych i rodzinnych zasług a osobistych poświęceń, oraz wyższości umysłowej, była warstwą wyższą, rządzącą. Ona, jako ciało obradujące rozwijała ustawy Boże w prawodawstwie świeckiem, a jako ciało rządzące wywierała naturalną władzę patryarchalną śród młodszych braci do koła jeszcze nie powołanych i nie usposobionych. Szlachta z duchowieństwem, jakoby małżeństwo polityki z religią, stanowiła duchowy organizm narodu, który poruszał wszystko ku czynności, uzcinał i w miarę zasług podnosił resztę narodu. Szlachta kochała i rządziła, a niższe warstwy przez posłuszeństwo i poświęcenie się dochodziły kolejno do władzy. Dziś zaś szlachta, chociaż kochać nie umie, i rządzić nie może, to przecież słuchać nie chce, a tak już nie należy ani do warstwy rządzącej, ani do słuchającej, lecz zostaje w zawieszaniu między temi dwoma powołaniami. Chciałaby rozkazywać, a nikt jej nie słucha; a gdyby i chciała słuchać, to już nie ma kogo. Tak się to dzieje, kiedy przestawszy słuchać Boga, traci się razem zarząd i instynkt posłuszeństwa, będący warunkiem zachowania i utrwalenia porządku towarzyskiego.

Ale szlachta nasza nie tylko w społeczeństwie straciła urząd i powołanie, lecz zmieniła również swoją wewnętrzną naturę i już do siebie samą nie jest podobna. Dawniej ciało rycerskie czyli szlachta była porównana w prawach i obowiązkach, pomimo, iż w niej widzieliśmy stopniowanie dostojenstw wedle zasług dawnych i osobistych i wedle sprawiedliwego rozeznania najwyższej w narodzie władzy. Wszyscy jako *bracia szlachta* byli sobie równi, ale mimo tego urzędy wyższe i niższe wpro-

wadzały przyzwoitą hierarchią w tém jednolitem ciele społeczeństwa. Dzisiaj się przeciwnie dzieje: wszyscy bowiem pod względem urzędu jesteśmy porównani (gdyż żaden z nas niczém nie jest), ale za to rozróżniamy się między sobą większą lub mniejszą pychą. Zamiast, co byśmy mieli postąpić od zasady *rodu* do wyższej zasady *ducha*, to się cofnęliśmy do najniższego źródła hierarchicznego, to jest do wyższości, jaką daje ziemia czyli majątek. Nie ukłonimy się już ani stariej zastudze przodków (która rozjaśnia czasem odświeżonym blaskiem czoła młodszych pokoleń), ani się skłonimy przed zasługą osobistą żyjących, ale jak modni smakosze, idąc za węchem wylworniejszej potrawy, tam nasz hołd składamy, gdzie więcej widzimy środków zaspokojenia zbytkowych naszych zachceń, i gdzie się nam więcej błyszczy złoto i ziemska mamona.

Co do mnie, przyznaję, iż chociaż rozumiem wyższość porządku hierarchicznego z ducha nad rodowym, to przecież w imionach, które mi całą świetną przeszłość ojczyzny przypominają, lubię uczcić pamięć przodków a wyszukiwać w żyjących ślady dawnej ojców szlachetności. Nie czuję się wcale w duchu poniżonym, gdy uszanuję potomków rodzin, których poświęcenie dla kraju każda karta dziejów przywodzi; i nie tylko żadna mnie pokusa nie bierze spychać ich z wyższego stanowiska, ale własnych barkówbym im nadstawił, aby się na téj wyższości osobistą zasługą jak najdłużej utrzymać mogli. Są to wieże przy społecznej budowli, które dodają ozdoby, a wcale na sklepieniu nie ciążą, bo stoją na własnej posiadzie i łączą się w zarysie estetycznym z całym gmachem narodowym.

Co w istocie psuje i szpeci organiczny skład koła

szlacheckiego, to owe świeże nadrostki pseudo-magnatów, którzy, jakby nowe a niewydarzone pieczywo, do panów nie dorastają a szlachtę przerosnąć kuszą się. Wyszli oni poza obręb koła i uciekają od obowiązków z solidarności szlacheckiej płynących, a niemając ani odwagi ani serca przyjść do wyższej godności na drodze pracy i poświęceń, przemycają się przez *salon* lub przez *sypialnię* do szeregu panów, i tam stają jako figuranty minionej już dworszczyzny. Szlachta, która ich z siebie wyłoniła, stale ich jako dezertarów od siebie odpycha; panowie, chociaż ich znoszą, przecież ich między siebie nie liczą; tak więc nie należą oni już do żadnej warstwy, ale jakiś tworzą osobny gatunek, dwuliczny, w narodzie nieprzydatny, i podobny do tych wczesnych owoców zwanych *nowaliami*, które na stole wielkich panów mniej są postawione ku pożywieniu gości jak raczej ku podziwieniu nowością i przyspieszonym wzrostem.

Widzieliśmy też zawsze smutny koniec tych inspekcyjnych magnatów. Życie ich mdłe, chociaż wygórowało jak chmiel na tyczce, więdło prędko i do nicubłaganiej powracało nicości. A wtenczas, kiedy możliwe rodziny i wielkie imiona upadały pod gromem, który spadał na całe królestwa, i pod którymi ziemia jęczała z bóleści, to magnatek kończył całą swoją wielkość pod zębem lichwiarza, i nic na jego upadku ani ziemia nie utraciła, ani społeczeństwo nie szkodowało. Wielcy panowie są bądź co bądź jakby żyjące gmachy historyczne, które każdy uszanuje przez samą miłość przeszłości narodowej; szlachta jest jakoby budynek gospodarski, w którym się dary Boże gromadzą; ale panek to jak altanka chińska, w której zalotna pani lubi przesiadywać, lecz w budowie tej świątyni miłości nie ma ani fundamentu ani

ścian, ale tylko dach malowany, a na wierzchu pusta choć złocona gałka.

Mniejby mi o ten rodzaj chodziło, gdyby on nie był szkodliwym nadrostem; szkodliwym mówię, bo nie organicznym i na żaden użytek obrócić się niemogącym. Pisząc przeto o budowaniu społeczeństwa, nie mogę znaleźć na ten rodzaj miejsca ani w gospodarstwie, ani w rządzie, ani w przemyśle, ani w sztuce, ani w katedrze, ani na kazalnicy; a więc musi on zostać sprzętem salonowym i zabawką dla niewiast, bo dla nichto jest w cudzych krajach wykształtowany, cudzych rządów indyginatem herbowny, cudzym językiem mówiący, słowem: cudzy Polsce, cudzy jej przeszłości a zapewne... i jej przyszłości.

Niktby atoli nie uwierzył, jak wielki miała wpływ na zniżenie sprawy narodowej ta egzotyczna nadrośl, i jak dalece te grzyby wysuszyły żywotne soki społecznego organizmu. Wszakżeto przeciw nim utworzyła się w ostatnich czasach demokratyczna opozycja szlachty; i myliłby się bardzo, ktoby myślał, iż szlachta wiejska ma w nienawiści wielkich panów. Przeciwnie, szlachta nasza chociaż zuchwała (i przez zuchwalstwo zdemokratyzowana), szanuje tradycją, bo w tej tradycyi siebie też samą znajduje. Przy boku hetmana, kanclerza, wojewody, prymasa lub biskupa, widzi ona i swojego naddziada, który walczy, albo krzesło poselskie zajmuje, albo łańcuchem kanonicznym ozdobiony rozpiéra się w kapitule; kiedy przy magnatach nowego pieczywa krztusi się tylko wonią paryzkich pachnideł i nic nie widzi z przeszłości, niczego nie oczekuje w przyszłości. Że się więc demokracja między szlachtą przyjęła, to przypisać można wyłącznie opozycji tego jędrnego starszszlacheckiego elementu przeciwko mdławej formacji

neopanów, którzy pychą drażnili szlachtę, a w poświęceniu jej nie sprościli.

Chłop także polski zawsze rozumiał i do dzisiaj rozumie *wielkiego pana i szlachcica*. Księcia lub magnata chociaż rzadko widzi, ale go szanuje; albowiem w majątnościach wielkich panów nie tylko była zawsze zachowana wyższa względem ludu sprawiedliwość, ale też i pewna wspaniałość i dobroczynność (właściwa możliwym), którzy ani potrzebują drobiazgowymi korzyściami pomnażać dochodów, ani w duszy nie mają wewnętrznego usposobienia do ucisku tych właśnie, którzy z nimi stać nie mogą ani we współubieganiu, ani w zapastnictwie politycznym. Włościanin więc w dobrach możliwych panów był dużo wolniejszym i szczęśliwszym; a chociaż bezpośredniej niedoznawał opieki, to też pod bezpośrednim nie jęczał uciskiem i prześladowaniem. W posiadłościach znowu średniej szlachty, na wsi zamieszkałej, wieśniak polski, chociaż uciążony, był przecież z dziećmi swoimi w ciągłych stosunkach; łączyła ich pewna solidarność, wspólność jakaś sielska ziemi, powietrza, wody i pracy. Chociaż sobie często wzajemnie dokuczali, to się znali i znosić musieli (tak jak w małżeństwie lub w rodzinie). Słowem doznawał lud Boży trochę ucisku od swego pana, ale znowu doznawał i zapomogi, a w reszcie z pokolenia w pokolenie nawykli do siebie, i szło to jakoś do czasu.

Tymczasem z neo-pankami nic chłopu nie łączyło, ani wiara, ani obyczaj, ani wspólność pracy i kłopotów. Taki pseudo-magnat potrzebował znacznych dochodów, aby się na równi z panami postawić, i mieć za co odbyć podróż za granicę a szumić w stolicy. Puszczając więc w dzierżawę posiadłości swoje i ciągnął, ile mógł z dzierżawcy,

a dzierżawca w imieniu jego obdzierał chłopa. Włościanin znał tylko swego pana z uciążliwości, lecz się pomiędzy nimi żaden nie zawiązał stosunek, ani w kościele, ani przy zagonie, ani w szczęściu ani w nieszczęściu. Chłop nie znał w nim ani ojca, ani pana, ale *ciaracha* czyli *tyraka* (od wyrazu tyrać czyli poniewierać.) Zresztą pan taki, nieznając obyczaju ludowego, nie miał *słowa* zrozumiałego do chłopa, i nie wiedział nawet w czymby mu sprawiedliwość lub miłosierdzie wymierzyć. Łatwo jest więc pojąć, dla czego w większej części majątków posiadanych przez panów wyradzała się niechęć, która w zawiść wzrastała i czekała sposobnej chwili do wybuchu. Co się tyczy szlachty wiejskiej, trzy główne krzywdy, (nielicząc w to zewnętrznych) rozcinały zgodny z ludem stosunek: *zgorzenie pod względem religijnym; rozpusta*, a z tąd największa obraza ducha dla *ojca, mężów, braci*; a w końcu *ekonom i Żyd*.

Nie można powiedzieć, aby u nas szlachta wiejska w ostatnich latach zbyt przeciążała i prześladowała poddanych. Wielu nawet posuwało stosunki aż do przesadnej filantropii i demokratycznego braterstwa i równości. Może nawet szczerze kochali chłopa i szczerze dawali owe lekarstwa z domowej apteczki, ziarno ze spichrzów, a wreszcie wódkę na kredyt i pieniądze na odrobek. Lecz ta miłość dla chłopa była pogańska i nie miała wyższej posady. Dbano o ciało chłopa, i o jego materialną egzystencją, ale nie kochano duszy chłopskiej; i ta sama ręka, która włościanina z fizycznego upadku dźwigała, potraçała duszę jego w potępienie, a moralność i czystość uczucia w nim rozburzała.

Inny powód, który odstręczał lud wiejski od patryotycznej szlachty (z natury dobrej, ale mało rozważnej),

był ten natrętny sposób propagowania patryotyzmu i buntu. Chłop czuł i doskonale rozumiał, iż szlachta nie kocha Polski w ludzie i *dla ludu*, ale ją chce mieć *przez lud*. Nie chce jęj też mieć dla chwały Bożej i dla wolności wszystkich, ale dla chwały swojej i dla swobód swoich. Sama nawet ofiara usamowolnienia od powinności pańszczyźnianych, nie z miłości ludu ale z miłości ojczyzny pochodziła. Widział przeto wieśniak w tęg obietnicy wymianę ziemi za krew swoją i dla tego tak drogo okupić się mającej ofiary nie przyjął. Rzeczywiście chcieliśmy ludu nadużyć, to jest ponętą wolności nasz interes przeprowadzić, a myśleliśmy, że chłop się na tęg nie pozna. Tymczasem w błędzie jest ów, który nasz lud ma za ograniczony; chłop nasz nie jest uczonym, ale tęg wcale nie jest łatwowiernym; u niego prosty rozsądek zastępuje inne umysłowe zdolności, a przecucie ostrzega go o podejściu lub niebezpieczeństwie!...

Lecz niechęć wznawiać bolesnych wspomnień, które niedość jeszcze opłakali jedni, a niedość odpokutowali drudzy; przejdę odrazu do stosunku, w jakim dziś szlachta z ludem wiejskim zostaje, i ośmielę się kilka przedstawić uwag, a razem stręczyć możebne środki pojednania.

W skutku doznanej jakiegokolwiek krzywdy budzi się w sercu pierwsze ludzkie a nawet zwierzęce uczucie zemsty, a przynajmniej nieubłaganego żalu. To uczucie płynie w owych chwilach z zasady wrodzonej własnego zachowania, i z gwałtownych wzruszeń nerwowych, którym krewkość oddaje się w usługi. Duch wszakże nie ma jeszcze w tęg sprawie udziału i nie orzekł i nie sformułował; broni on się nawet od tych pierwszych wrażeń, i staje w walce z niższém uczuciem, które go do współki zemsty pociąga. Jeżeli w tęg chwili ważnej duch ludzki

zaczernie Boskiej pomocy, i wezwie Chrystusa na ratunek, to w odbytej wewnętrznej wcale zwycięży podnoszącą się zemstę w sferze niższych jego zdolności. Jeżeli zaś duch nasz sam dla siebie siły z nieba niezaczernie, to najczęściej upadając pod natarczywością wzruszeń nerwowych, zniża się do namiętności, wplata w nie swoją siłę, bierze na siebie zarząd zemsty, i zaraz ją systematyzuje a uporem odznacza.

Otoż gdyby człowieka od człowieka Chrystus nie przegradzał i wzajem ludzi nie jednał, toby oni po każdej doznanej krzywdzie najprzód wyzwali się na ciała, i toczyli z siebie krew, a później wyzywali się na duchy, i pryskając jadem śmiertelnym, przemienili ziemię w piekło a siebie w potępieńców. Lecz właśnie w narodach chrześcijańskich zemsta jest zabroniona, a przynajmniej wszelką ma się sposobność uniknienia tej namiętności: albowiem prawo Chrystusowe pełne miłosierdzia łagodzi i przytępia gwałtowne zruszenia krwi i nerwów, a podwyższa siłę ducha i złamaną harmonią między zwaśnionemi przywraca, podzielone zaś królestwo znowu w jedną całość łączy.

Jakiż atoli jest warunek tej zgody? oto przebaczenie czyli przewaga miłości nad żalem budzonym ciągle wspomnieniami krzywdy. Nie można się wprawdzie ustrzedz od natarczywości wspomnień, ale można się ustrzedz od przewagi żalu i takowy Bogu i dobru publicznemu w ofierze złożyć.

Słyszę wszędzie i zawsze skargi i namiętne wyrzekania właścicieli na dzisiejszy stosunek z włościanami; a chociaż podzielam słuszną żalobę pokrzywdzonych, to przecież nie myślę, iżby przedłużając rozdrażnienie i rozwodząc żale, mogli tém położenie swoje poprawić. Jakkolwiek było

wielkie nieszczęście i cierpienie, i jakkolwiek straty są nieobliczone, to należy je mężnie i szlachetnie policzyć w szereg spraw dokonanych, i przyjąć je w duchu pokuty i zazdość-uczynienia za własne i za przodków grzechy. Chodzi raczej o to: jakby dzisiejsze położenie zrobić znośnym, i jakby na nowo zawiązać stosunek z ludem, z którym przecież żyć trzeba wiecznie, czy w niebie, czy w krainach kary; a również i tu docześnie na ziemi, na której uczciwie i zgodnie żyjąc, wzajemnie się zbawić, a żyjąc w zawiści, wzajemnie się potępić można. Na to żaden polityk ani najmędrszy reformator ludzkości nie poda sposobu, jeno go stręczy na każdej karcie Pisma *wiara*. Onato w modlitwie Pańskiej nakazuje odpuszczać winowajcom; ona każe więcej jak do siedmdziesiątego razu przebaczać; onato nakazuje kochać tych, którzy nas nienawidzą, i ona przywołując słowa zbawiciela mówi, iż *błogosławieni są czyniący pokój, albowiem nazwani będą synami Bożymi*.

Otoż nie na gruncie politycznym, ale na polu wiary i pod krzyżem Chrystusowym rozerwaną zgodę zawiązać należy. Bo zaprawdę: coż jest między szlachcicem a włościaninem rzeczywiście wspólnego? Plemiennosc?.. to jest wątpliwe; bo szlachta ma w sobie mieszaninę Słowiańskiego i Lechickiego a Sarmackiego pierwiastku, kiedy chłop polski jest (z małym wyjątkiem napływu plemienia Tatarskiego) czysto Słowiański. Obyczaj?.. nie bardzo dziś szlachtę do ludu zbliża, bo na szlachtę wywierały wpływ obce zwyczaje, które przecież chłopów niedotknęły.

Interes materyalny?.. ten owszem oddala ich dotąd jeszcze od siebie! Cel polityczny wcale ich takżenie łączy. A więc jedna wiara w Chrystusa ukrzyżowanego, zmartwychwstałego. i żyjącego w nas i wśród nas, jest wy-

łącznym węzłem, spójnią i środkiem jedności i zgody. Jakinże atoli sposobem zawiązać to chrześcijańskie braterstwo?... Do tego właśnie podam praktyczny środek.

Przypuszczając, iż szlachta wiejska zachowała jeszcze resztę wiary, lub do niej coraz więcej powraca tak przez sumienie jak i przez rozum, a wreszcie w skutku chłosty, która ją do poprawy ciśnie: życzyłbym, aby obywatele wiejscy wspólnie się z proboszczami porozumieli ku wskrzeszeniu i podniesieniu dawnych bractw, w każdej niemal parafii istniejących, ale zaniedbanych. Życzę, aby się szlachta wraz z ludem do nich zapisawszy, pilnie i szczerze obowiązki do tych bractw przywiązane pełniła, czyli to we wspólnej modlitwie czy w miłosiernych uczynkach.

Zwyczaj jest, iż bracia z kolei są przeznaczeni do posług wzajemnych w chorobach, pogrzebach lub nabożeństwach kościelnych. Szlachta, niechaj rzeczywiście (a nie tytularnie) do tych bractw należąc, od powinności wspólnych się nie wymawia. Drugi jest również zwyczaj, iż w takim bractwie oprócz plebana miejscowego, który z porządku rzeczy na czele bractwa stoi, jest świecki brat starszy i radzcy, czyli radni, oraz pisarz i podskarbi. Na te urzędy, zwykle najpobożniejsi i najczynniejsi bywają powoływani. Przed laty trzydziestą znałem bardzo blisko zamożnego obywatela, który w majętności swojej i parafii sumiennie do takiego bractwa należał. Starszym bratem był ubogi chłop, znany ze świątobliwego życia, podskarbisem był kowal a pisarzem sam dziedzic. Wczynie służby kościelnej ów chłop (brat starszy) zajmował pierwsze miejsce, po nim szedł kowal, a nareszcie pan włości. Całe bractwo ożywione było najlepszym duchem, i dopełniało obowiązków przywiązanych do tej chrześcijańskiej społeczności z największą gorliwością. Opiekowało się

szpitalem utrzymanym kosztem bractwa i ze składkowych pieniędzy grzebało ubogich wieśniaków, a o sierotach miało starunek; wreszcie składało się na ozdoby kościoła. Taka zaś między niemi panowała miłość i zgoda, że z innych parafij wpraszano się do tego bractwa. Gdy zaś dziedzic tój majętności (w mieście o dziesięć mil odległym) umarł, całe bractwo z własnego natchnienia o mil pięć wyszło na przyjęcie zwłok wiezionych do familijnego grobu, i łzami pamięć jego uczciło, a zachowuje do dziś dnia błogie o nim wspomnienie. Otoż bez demokracji i bez polityki najczulsze zawiązało się braterstwo między ludem a dziedzicem.

Pod wpływem czystego ducha religijnego, nie zmieszanego z wyobrażeniami wieku, tworzy się naturalny i trwały stosunek między ludźmi, których i różnica hierarchiczna w społeczeństwie, obyczaj, a czasem nawet interes ziemski dzieli. Lecz jeżeli obok tego stosunku da się jeszcze ustanowić wspólność interesów materyalnych, to ten węzeł jest tém praktyczniejszy. I tak: byłoby do życzenia, aby szlachta łączyła się z włościanami w pewnej przemysłowej wspólnicy, do czego każdodziennie znajdzie sposobność, czyto w sprzedaży produktów czy w kupnie materyałów, czyli też nawet we wspólnej uprawie roli, z którejby się korzyściami dzieliła. W zachodnich krajach, gdzie od dawna nie ma pańszczyzny, właściciele większych posiadłości dzielą grunt na małe części, i te na połowę czystych dochodów pracowitym gospodarzom wypuszczają. Inne jest wprawdzie u nas położenie, albowiem ziemi jest stosunkowo więcej niżeli rąk do pracy. Wszakże w każdej niemal wsi jest znaczna część ludności, która albo u dziedzica albo u kmieci zakupuje zagony na przysiewki, to pod kapustę i ziemniaki, to nawet pod owies.

Otoż takich ludzi możnaby pomału wciągnąć do wspólnego obrobienia pola za część lub pewny udział korzyści.

Wszelkie stowarzyszenie rolnicze i przemysłowe na szerszy w narodzie rozmiar urządzone jest nader korzystne, gdyż tworzy masę kapitałów, czy to w gotowiźnie złożonych, czyli téż w pracy i zdolnościach zespolonych, które pozwalają przedsiębiorstwo na pewniejszej postawić stopie i nadać mu coraz większe rozmiary. W gminie atoli rozsądne stowarzyszenie rolnicze i przemysłowe większego właściciela z mniejszemi jest prawie dzisiaj koniecznym. Skarżą się właściciele więksi, iż włościanie po usamowolnieniu nie chcą wychodzić na zarobek. Jestto zapewne wielka strata jużto z uwagi na ogólną produkcją płodów ziemi, już na upadek majątków prywatnych; strata, mówimy, nieobliczona, i dla skarbu i dla ludności krajowej. Wszakże wcale nie jest dziwnym, iż w stanie takiego wzajemnego rozdrażnienia i niechęci (która dziś szlachtę z włościanami dzieli), ci ostatni nieczują moralnych pobudek ku poświęceniu chętniej pomocy dawnym swoim panom. Każdy z nas wolałby darmo pracować dla przyjaciela jak za pieniądze najmować się niechętnym sobie ludziom. Grosz więc niezyczliwą ręką podany nie jest miłym, i z tego wstrętu tworzy się pewien upór, który coraz będzie trudniejszym do zwalczania.

Za granicą, gdzie ludność stosunkowo jest większa, a potrzeby ludu oświecześniejszego liczniejsze, i w których zbytek wchodzi już nie raz w rubrykę wydatków koniecznych, to lud uboższy jest nie raz zmuszonym do szukania zarobku bezwzględnie na odrazę lub niechęć ku hogatszej warstwie społeczeństwa. Ale u nas rzecz się ma inaczej: włościanin ma dużo pola a mało potrzeb; do pracy zaś jest najleniwszym ze wszystkich ludów Eu-

ropy; trzeba go więc zachęcać, nęcić, wciągać, tak moralnie oznaką przychylności, jak i materyalnie nadzieją korzyści; trzeba go niemal wychowywać do czynnego życia. Ten zaś tylko wychowa, który kocha, bo nikt nie idzie za radą nieprzyjaciela ale za zdaniem przyjaciela. Szlachta, chociaż niepanuje dziś *nad Gminą*, ale jest zawsze w *Gminie*, a więc wyłączać się z niej nie może i niepowinna, tak, jak to dziś przez żal i rozdrażnienie czyni, ale zrozumieć swoje położenie i z tego już nowego punktu wychodząc, w jakim ją wypadki postawiły, nie wzdychać za przeszłością niepowrotną ale budować ma raczej przyszłość szczęśliwszą a przynajmniej znośną. Nie znam dość złego położenia, z któregooby człowiek pracowity, obrotny i poczciwy nie mógł wyjść z korzyścią i chwałą, jeżeli dobrze je rozpozna, i weźmie je dla siebie za punkt wyjścia, a do niego się zastosuje. W czem się bowiem najczęściej ludzie myślą, oto właśnie w tym pochwyceniu rzeczywistego punktu wyjścia; i dla tego cierpią, gdyż zawsze odnoszą się nie do obecnego ale do przeszłego położenia. Zapominają, iż to, co służyło wczoraj nie służy już dzisiaj, i że każdy nie żyje w dniu *wczorajszym* ale w *dzisiejszym*.

Dopóki szlachta będzie płakać na rozwalinach przeszłości, a założywszy ręce oczekiwać jęj powrotu, dopóty nic niezbuduje, ale się sama w ruinach minionego porządku zagrzebie. Nam nie płakać ale pracować potrzeba. Pracować z odwagą i nadzieją, i w sferze, do jakiej każdego wypadki doprowadziły. Wszakże ziemi nie ubyło, ludzi nie ubyło, ani wody, ani powietrza; a jeśli tylko porządek dawny się zmienił, to z nowym trzeba się zgodzić i myśleć na *przyszłość* a nie na *przeszłość*. Porządek jest *formą rzeczy*, a nie *rzeczą*, do formy więc nagiąć się można i należy, a rzecz swoją drogą rozwijać,

ziemię do produkcji zmuszać większą czynnością, zdobywać pracą i ożywiać roztropnym przemysłem.

Widzę bardzo często w obywatelach zniechęcenie do pracy, do majątków i do ludzi; w rozmowach dostrzegam rodzaj rozpaczyny nader szkodliwej, która się nawet w przysłowiu bluźnierczym wyraża: „*Bogdaj cię pan Bóg wsią skarał!*“ Taki stan jest nader grzésznym, i nieszczęśliwym, bo doprowadza rzeczywiście do moralnego upadku a materyalnej nędzy. Ktokolwiek zajmuje się jaką pracą, jest za nią Bogu, społeczeństwu, rodzinie i sobie samemu odpowiedzialny; powinien jęj więc dokonać sumiennie, pilnie i ochotnie; powinien pracować z miłością czyli zamiłowaniem swoich obowiązków, i z nadzieją zbierania owoców swęj pracy. Bez takiego uczucia praca byłaby największą niewolą, karą i nieszczęściem dla człowieka. Od nas wszakże wybór pracy zależy, i niechaj każdy tam czynność swoję zwróci, gdzieby pracować mógł z wolnością, z upodobaniem i korzyścią.

Jeśli komu tak już wieś zbrzydła, iż w nięj mieszkać ani pracować nie może, to niech ją sprzeda, a włoży kapitał w przemysł; jakoto: w handel zboża i wełny, lub w przedsiębiorstwo budowania dróg, albo niech małe banki zakłada po miastach, lub też fabryki dla naszego kraju stosowne, albo niech się stara o urząd zdolności jego odpowiedni i tam niechaj szuka korzyści własnej i narodowej. Z założonemi atoli rękami siedzieć i narzekać, nic nie przedsiębiorąc ku wyjściu ze złęgo położenia, to niskich duchów jest rzeczą i słabość charakteru oznacza. Trzeba pychę szlachecką a raczój przesąd z serca zrzucić a szlachetną ambycją rozniecić, i przyjąwszy sobie za cel: użyteczność ogólną i korzyść własną, obrać pewną drogę i na nięj z wytrwałością a energią postępować. W osta-

tnich wiekach przywilejem szlachty było: używanie i błogie próżniactwo, dziś niech hasłem jój będzie trud, czynność i zasługa.

Szlachcic mający kilku synów a jedną wioskę, niechaj odrazu sposobi dzieci do rozmaitych a szczegółowych zatrudnień, tak, aby mała częśćka, jaka im się dostanie, była raczej zapomogą do przedsięwzięcia jak wyłącznym ich kapitałem. Część, czyli scheda 10,000 a nawet i 20,000 Złp. jako majątek jest za małą, kiedy jako kapitał zakładowy w przedsięwzięciu jest dostateczną dla ludzi wyższą nawet zajmujących pozycją. W przemyśle bowiem kapitał dobrze użyty trzy i cztery razy w rok obiega, a tém samym wyższy przynosi dochód.

Szlachta dzisiaj nie może między ludem dawnego naprawić stanowiska jak tylko przez wyższość umysłową, i przez obudzoną czynność a udowodnioną użyteczność. Niech więc jedni z zamiłowaniem w roli pracują, drudzy na urzędach zdolnością i sprawiedliwością się odznaczają, inni jako duchowni niechaj świecą przykładem cnót i żarliwości, a reszta niechaj w gałęziach przemysłu narodowego ćwiczy się i krząta.

Kobiety zaś, zamiast mieszać się do polityki, która jest dla nich mniej stosowną, a dla narodu wcale nie przydatną, niechaj zajmują się raczej wychowaniem własnych dzieci i staraniem o sierotach, kalek, chorych i starcach. Niechaj dobroczynnymi a nie politycznymi zakładami pilnie się zajmują; niech urząd swój miłości i miłosierdzia szeroko na korzyść cierpiących rozwiną, a Bóg ich staraniom pobłogosławi, gdyż zamiast tworzyć nowe powołanie, właściwego im dopełnią.

O zadaniu ważném urzędzenia majątków lub korzystnej sprzedaży posiadłości ziemskich w krótcie osobne

dzielko napiszę, i oddam je pod światły sąd współrodaków, tu zaś, dotknąwszy tylko kwestyi położenia właścicieli (z ogólnego punktu), chciałbym obudzić w nich odwagę do pracy, dodać otuchy i utwierdzić w sercach tę pewność: iż dzisiejszy porządek, na który tyle narzekamy, wyjdzie na lepsze dla narodu, i stanie się później źródłem pomysłności powszechnej, jeżeli się wcześniej do niego zastosowawszy, zaczniemy budować przyszłość, a nie wywoływać z grobu przeszłości niepowrotnej. A tém samym: jeżeli zamiast wymawiać ciągle włościanom dawne powinności, zaczniemy raczej wmawiać w nich dzisiejszy obowiązek wspólnej pracy około uprawy wspólnej nam ziemi.

O przymiotach rodzimych polskich, i o myślach napływowych.

Każdy naród ma swój przymiot rodziwy czyli pewne duchowe znamię, które go od innych rozróżnia. Jestto ów talent ewangeliczny *ku przyrobkowi* szczególnym plemionom powierzony, aby z niego rozwinęły swój obyczaj, język, literaturę i sztuki, oraz wewnętrzną i zewnętrzną politykę.

Ten przymiot *rodziwy* tak się dobitnie wyraża i góruje wśród innych zdolności, że nadaje on ogółowi narodu pewien charakter wyłączny i staje się piętnem jego narodowości. Jak zaś w pojedynczym człowieku sądzimy z przeważnego w nim przymiotu o jego charakterze i temperamencie, a oceniamy właściwą mu indywidualność tak również z publicznego przymiotu sądzimy o usposobieniach plemienia i tworzymy sobie zdanie o wartości i znaczeniach narodu.

Tego przymiotu ani całe plemię, ani żaden pojedynczy człowiek zatrzyć w sobie nie może bez wyrzeczenia się narodowości i bez wyłączenia się z plemiennego społeczeństwa. Rozwijając go zaś każdy powinien i przestrzegać jako talizmanu życia. Niewolno mu atoli zamienić go na obcy przymiot, albowiem popełniłby samobójstwo, przez które, tracąc własną indywidualność, przejśćby musiał koniecznie pod moc i prawo tych, od których sobie myśl i charakter przyswoił.

Narodowość jest jakoby ręką Bożą zaczęte tło krajobrazu na kanwie życia narodowego. Zapełniać go szczegółami i powiększać jego rozmiar każdemu wolno i przystoi, ale zmieniać pierwotnego zarysu niechaj się nikt nie waży; albowiem ze szkodą planu Bożego stworzyłby rzecz inną, zupełnie od pierwszej różną, i popchnąłby naród na drodze obcych przeznaczeń.

I tak: zmieniawszy pierwszy zarys narodowości polskiej, można na tej samej kanwie wyrobić krajobraz Francji, Anglii, Niemiec lub Rosyi i otrzymać kopią mniej lub więcej dokładną tamtych narodowości, ale nie będzie to już Polska ze swoim piętnem, lecz tylko ciało polskie obcym duchem natchnione, i podobne do staropolskiego domu, w którym po śmierci gospodarza cudzoziemiec zamieszkał.

Zadanie więc dla każdego jest proste, a wybór łatwy i jasny. Jeżeli naród chce istnieć choćby w najodleglejszej przyszłości, to musi przymiot swój wewnętrzny zachować i kształcić; jeśli zaś pomiata nim i obcą myśl przyswaja, to na próżno dopomina się narodowości, którą już dobrowolnie poświęcił i na korzyść innego narodu złożył.

Wielu dzisiaj myśli, iż narodowość leży w tej lub owej formie rządu, w tym lub innym układzie społecznym, i wyłącznie w samej ziemi, albowi tylko w zewnętrznej kraju niepodległości, i dla tego poświęcając myśl główną, to jest ducha narodowego i pierwolity przymiot, uganiają się namiętnie za powłoką czysto zewnętrzną narodowości, i że tak powiem, odrzucają na bok jądro a dobijają się o łupinę. Widzimy co dzień przykłady, iż ludzie krzątający się około sprawy polskiej, przyglądają się jej przez szkło francuzkie albo angielskie; jedni czerpią swoje natchnienia w liberalizmie francuzkim, a drudzy, którym się toryzm angielski więcej podoba, chcieliby go żywcem do Polski zastosować, i zawczasu się już do tej oligarchicznej pozycji nadymają. Jestto prawdziwe nieszczęście, iż tam, gdzie trup leży, to się zarówno wilki, wrony, i gawrony zbiegają, aby łup między siebie podzielić; tak też i trupa Polski ptastwo demokratyczne dziubie po kawałku, a wilki anglo-polskie szarpią go większemi ćwierciami.

Nie można nosić wewnątrz obcego ducha a Polskę budować, tak, jak nie można stawiać przybytku Bożego wedle zarysu stajni lub stodoły. Trzeba żyć życiem Polski, zrozumieć jej przymiot rodzimy, cofnąć się myślą do jej założenia, iść za nią ślad w ślad od kolebki aż do grobu; trzeba utworzyć sobie w duszy pewną całość wyobrażeń i niemal szkic żywota narodu, aby odgadnąć poco Opatrzność nasze plemię do godności organicznej egzystencji podniosła... jakich mu ku temu środków udzieliła, jakim obciążyła naród obowiązkiem, a w końcu jaką mu wytknęła drogę wiekowych przeznaczeń.

Kto się sumiennie i bezstronnie wtajemniczy w duchową naturę swojego narodu, zrozumi z łatwością powody jego szczęścia i chwil pomyślnych, również jak i

źródło nieszczęść, niewoli i upadku. Słowem, zrozumie przeszłość, pojmie co ma czynić w terażniejszości i niemal odgadnie przyszłe Boga zamiary. Do tego jednakowoż przyjść nie można bez wewnętrznej ofiary. Trzeba się wyrzucić napływowych myśli, zamknąć oczy na środki, których inne narody z pomyślnym skutkiem używały, zapomnieć niemal cudze dzieje i wziąć rozwód duchowy z polityką dzienną; złagodzić w sobie wszystkie namiętności żalu i oburzenia na kary, które Opatrzność zesłała i zsyła; słowem, trzeba na chwilę zawiesić działanie krwi i nerwów, a w duchu uspokojonym szukać pierwolitego przymiotu narodu, i dochodzić, gdzie go naród odstąpił, gdzie nadużył lub zwichnął, kiedy go z obcym pierwiastkiem pomieszał, kędy grzechem zabrudził, wreszcie kiedy i jak naród znamię swoje utracił na korzyść czyją, lub jakiej zasady. A w tenczas to, po zgłębieniu psychologicznej natury społeczeństwa, wolno jest jąć się myśli budowania rozburzonego gmachu i naprawienia szkód moralnych, które myśl narodowa poniosła.

Ważna ta praca, ani łatwo ani dorywczo obrobioną być nie może, a tćm mniej w szczupłym zakresie tego dziełka objęta; wszakże chcieliśmy zwrócić uwagę czytelników na szkody, jakie sprawia mylne zastosowanie wypadków obcokrajowych do polityki narodowej, i przyswajanie sobie cudzych przymiotów a płynącego z nich trybu postępowania.

Odpowiedzą mi niektórzy: „*iz co dobre za granicą, to można sobie przywłaszczyc i naśladować*“. Niezaprzeczam, iż wolno jest narodowi wzbogacać się nauką i dobremi wzorami innych krajów; lecz zupełnie co innego jest *przyrabiać* dobre, a co innego *przerabiać* z dobrego i swojego na obceizłe. Wolno więc do posiadanego już przy-

miotu przyczynić inne, na których narodowi zbywa, ale niewolno własnego talentu wymieniać za cudzoziemski liczbom i tym sposobem przekształcać naturę ducha narodowego. Widzimy, iż w pień drzewa da się obcą gałązkę wszczepić, ale nie można drzewu ani korzenia innego podstawić, ani przemienić jego właściwego rodzaju. Słowem, jak każde drzewo ma swój rodzaj, i każdy człowiek swoją charakterystyczną indywidualność, tak naród ma wyłączną naturę duchową i przymiot swój plemienny, który jest podstawą jego rozwoju obyczajowego i politycznego.

Jakiż tedy jest pierwolity przymiot narodu polskiego? Oto bez zaprzeczenia: *dobra wiara*, która płynie u nas z kombinacyi wiary i miłości czyli dobroci. Ten przymiot otrzymał naród nasz jako dar nadprzyrodzonej łaski, wrobił go w naturę swoją, i przeprowadził przez swój obyczaj, ustawy, mowę, literaturę i sztuki. Nim się kierował przez kilka wieków w polityce swojej wewnętrznej i zewnętrznej; on był podstawą jego życia w rodzinie, w społeczeństwie i w stosunkach z pobratymcami i z sąsiadami, i były go do wielkiej świetności i szczęścia doprowadził, gdyby go był naród wiernie przestrzegał, a coraz szerszej w duchu Bożym rozwijał.

Obok *dobrej wiary* nie się nie utrzyma, co jest krzywem lub co fałszem trąci, i dla tego żaden podstęp, i tak nazwana zręczność polityczna, z charakterem się polskim nie zgadza. Żaden spisek, konspiracya i podejście się nie udaje. Prostoduszna Polska padała często ofiarą swojego rodzimego przymiotu, i nieogłędna a poświęcona dała się łatwo oszukiwać; lecz pożyteczniej jest narodowi być uwiedzionym jak uwodzonym, i zaszczytniej zginąć dla prawdy jak żyć dla fałszu. Szczerość u nas i otwartość do wysokiego stopnia posunięte były, dla

tego też kto nas oszukiwał, tém większą popełniał zbronię, iż mu nadużycie zaufania naszego z taką przychodziło łatwością. Śmiało więc powimy: że kto nas gorszył i uczył podstępny a zdrady, rzeczywiście gorszył *maluczkich* (według wyrażenia Pisma), i wielka go przed Bogiem czeka odpowiedzialność.

Lecz gdy wiara i miłość (jakby zasiów Boży na bujny grunt ducha polskiego rzucony) rozwijały się w układzie czysto katolickim społeczeństwa naszego i bogaty plon w cnotach narodowych wydawały, przyszedł protestantyzm zachodni, a z nim przeczenie porządku Bożego, i stracił Polskę z toru jój przeznaczeń. Nie tylko zaś narodowi zaszkodził jako negacya religijna, ale równie jako niedokwas polityczny, czyli rozczyznik głównych zasad naszej społeczności. Coż jest bowiem w ścisłym znaczeniu protestantyzm?.. oto transakcyja chrystyanizmu z cywilizacją Grecko rzymską, czyli fałszywy sojusz prawdy chrześcijańskiej z pogańskim kłamstwem. Polska, która nigdy nie przechodziła (tak jak i inne narody zachodnie) przez szkodliwy wpływ tej cywilizacyi, zostawała też w zupełnie innych warunkach w chwili przyjęcia słowa Bożego. Była to biała karta, na której Bóg prawo swoje spisał i nad które nie było wyższego ani starszego.

Kiedy więc zachodnie narody, cywilizacją Rzymsko-grecką przesiąknięte, Bóg przeradzać musiał, to nasz się w Chrystusie urodził, i stanął w familii państw, jakby nowa wyspa podniesiona z głębi mórz wśród archipelagu. Nie dziwno więc, iż piérwszy zarys społeczeństwa naszego był wedle planu Chrystusowego królestwa, albowiem z Ewangelii a nie z prawa Rzymskiego uczyliśmy się obyczajów i polityki. Z tej atoli drogi sprowadzeni, i fałszem uwiedzeni, przeszliśmy z tą samą dobrą wiarą do negacyi u-

znanęj w piérw prawdy i zacieraliśmy stopniowo pierworo-dne przymioty naszęj narodowości, a konieczném następstwem padaliśmy pod ciosami Rzymsko-zachodnięj i Grecko-wschodnięj polityki.

Z dwu więc cnót zasadniczych: *wiary i miłości*, rozwinęła się od piérwszych chwil w charakterze naszym plemiennym: *prostoduszność* czyli *prostota ducha*, połączona z gorącą serdecznością. To zaś piętno jest zarówno właściwe Polakom jak i innym plemionom słowiańskim, z tą jednak różnicą, iż w Polakach te ważne przymioty rozwinęły się pod wpływem światła i ciepła wiary katolickiëj i pod nadzorem kościoła, a przyjęły formę wydatniejszą w obyczajach, prawodawstwie, literaturze i sztukach, a niemniej szerokie znalazły zastosowanie w życiu społeczném i polityce narodowëj, kiedy w innych plemionach (dla wielu przeszkód) pozostały tylko w obrębach cnoty indywidualnëj lub rodzinnej.

Z drugiëj strony, przymioty wiary i miłości wspólnych nam plemion, mieszały się już gdzie indziëj z uporem Mongolskim lub fałszem Germańskim, kiedy Polska przez 600 lat zachowała je w czystości i dopiero w ostatnich wiekach obco-krajowym wpływem je zabrudziła.

Wyższego przymiotu od naszego żaden chrześcijański naród nie odebrał. Z wiary bowiem i miłości płyną wszystkie inne cnoty, a wolność przyrzeczona jest narodowi, który je posiada, rozwija i zachowuje. Kto wierzy i kocha, ten z wolnością rozwija dzieło Boże, albowiem wiara służy mu za przewodnika, a miłość stanowi jego siłę. W Polakach więc utworzyło się w sposób bardzo naturalny uczucie wolności; albowiem każdy, który ma na celu rzecz dobrą, pragnie też posiadać środki spełnienia onëj; że zaś wolność dla wiary i miłości jest tylko środ-

kiem, a więc Polacy słusznie się jęj domagali, i w owych czasach rzeczywiście im się należała. Jak anioł służący Bogu używa zupełnej wolności, tak dalece, iż go sztuka chrześcijańska w skrzydła przyodziwa, tak również człowiek, który wierzy i kocha, stojąc najbliżej anioła, ma też prawo do wolności synów Bożych, dopóki onęj na chwałę Bożą używa. Z przymiotów więc naszych wyrobił się pewien polot duchowy, który nieraz kosztem ziemskiej rzeczywistości każdą sprawę do najwyższego ideału podnosił, i stworzył z nas naród poetów, mniej o rzeczy doczesne troskliwych jak spełnieniem wyższego posłannictwa zajętych.

Z upadkiem atoli wiary, a tém samem z osłabieniem miłości, wolność przeszła u nas w swawolę, czyli w pragnienie rozwijania nie już myśli Bożęj, ale myśli swojej, i dla tego popchnęła nas do nieładu tém prędzej, im mniej przeciwważona była *ludzkim rozsądkiem* i *ziemskiem wyrachowaniem*, którego to przymiotu nie posiadamy.

Polak więc, który dawniej zbliżał się przymiotami swojemi do anioła, zwierzęcując z upadkiem wiary coraz podobniejszym stawał się do ptaka; i rzeczywiście my dzisiaj wśród obcych nam narodów z wielu przymiotów naszych wyobrażamy *ród ptaków*. Polotni jak ptacy, próżnujący i mało oględni na przyszłość jak ptacy, płocho się zrywający, niestali, łatwowierni, a w ostatnich czasach razem z ptakami gromadnie do cieplic wędrujący, z więbby polskiej na palmowe drzewo Afryki lub Azji przelatujący, wszystkie ptasie mamy przymioty. Kochamy wolność, ale jęj użyć nie umiemy; pod sieć lub w potrzask każdy nas z łatwością złapie, każda ponęta nas zwabi, a cywilizacya nasza opiera się jak u kanarka na wyuczo-

nęj z pozytywka nucie, lub jako papugi i sroki na naśladowaniu obcych krajów mowy.

I coż nam przyjdzie z owych skrzydeł wolności, skorośmy przymiot narodowy wiary i dobroci utracili? Coż nam przyjdzie (zamkniętym dzisiaj w klatce) z posiadanej zdolności latania? lepiejby nam było może chodzić po ziemi z wiarą i miłością, jak bez nich na skrzydłach niedoperza rozbijać się po nocy wśród zwalisk własnej ojczyzny.

Wrócić do przymiotów wiary i miłości jestto powrócić do narodowości polskiej, i nikt mnie nie przekona, aby bez owych przymiotów szczęśliwy nawet zbieg wypadków wskrzesił naród, który życiem i obyczajem powołaniu swojemu zaprzeczył. Gdybyśmy rząd Polski mieli, króla, lub republikę, wojsko swoje i skarb własny, a wiary i miłości nie mieli, lecz bredzili cudze fałsze tak, jak to dzisiaj czynimy, i żyli nienawiścią, a miotali bluźnierstwa przeciwko Bogu i bliźniemu, tobyśmy byli zawsze w narodzie naszym cudzoziemcami, w Polskę tylko szatę ubranymi, i wyglądalibyśmy jak robaczywy orzech, *na Miłotałki* malarskiem złotem ozdobiony. Język nawet nasz czyli mowa ojczysta, dawniej na chrześcijańskiej myśli osnuta, straciłaby swoje właściwe piętno, i nie moglibyśmy jęj używać do określenia wyobrażeń, obcych naszej duchownej naturze, ale musielibyśmy stworzyć język nowy, wyrazy nowe i składnią nową (do stylu pocziwych przodków naszych ani podobną). Jakoż widzimy już dzisiaj, że nowi akatollicy filozofowie wykrztuszać z siebie muszą zupełnie nowe wyrażenia, zastosowane do pojęć świeżo wyssanych z macoszynych piersi.

Obyczaj nasz uprzejmy ale prosty (w niektórych jeszcze domach szlacheckich i w ludzie przechowany) musiał-

by przybrać piętno obce i zastosować się do sfałszowanej myśli. Poczyna nawet, ta święta pieśń ducha, która nam w tak tkliwych obrazach piękności nieba i ziemi malowała, zmieniałaby swoje znamię i przestałaby się łączyć z chórem aniołów, których Polacy zawsze do wtóru w pieśni wyzywali. Czyliż nie żal Polsce tego wszystkiego? O żal zapewne, ale żal tylko następstw a nie żal zasady. Żal języka, obyczajów i poezji, a nie żal wiary i miłości.

Utrata zaś przymiotów narodowych nie tylko jest dla Polski największą szkodą i równa się samobójstwu narodu, lecz razem przynosi dla współplemieńców naszych nader ważny uszczerbek. Kiedy bowiem przewodnik zmyli drogę, to nie tylko sam błądzi, ale pociąga za sobą w obłąd tych wszystkich, których miał prosto do celu prowadzić. I coż się w ten czas dzieje? oto albo wszyscy razem w przepaść lecą, albo też wędrowcy, rozgniewani na przewodnika, odpędzają go precz od siebie, i sami drogi szukają, lub czasem nawet puszczają go na zatracenie, posądzając o złość lub zdradę.

Nie darmo Bóg tylu łaskami obdarzył ojczyznę naszą, nie darmo pozwolił, iżby się pierwsza rozkwiliła wśród plemion słowiańskich, nie darmo dał jej samodzielność. Włożył on na nią (jakby na matkę) obowiązek wychowania młodszych plemion, dla nieba i dla ziemi, a obciążył ją odpowiedzialnością za każdy krok uczyniony na drodze przodkowania i przykładu. Z wiary więc i miłości sądzić nas Bóg będzie nie tylko za nas samych, ale i za tych, którym wiarę i miłość dać byliśmy powinni. Sądzić nas będzie nie tylko za utratę ale również i za niedorobek, bo żaden naród nie żyje tylko dla siebie, ale dla chwały Bożej i dla dobra innych, a tém bardziej

dla tych, którzy najbliżej są plemienném pokrewieństwem i tożsamością przymiotów duchowych złączeni.

Czegoż się dzisiaj od nas pobratymcy nauczyć mogą? czy anarchii Francuzkiej, czyli téż Angielskiej oligarchii i zinnego protestantyzmu, albo racjonalizmu Hegla, lub socjalizmu Gryna? Gdyby im te fałsze były potrzebne, to po cożby mieli chodzić do nas i nabywać je z drugiej ręki, (jako towar przemycany i uszkodzony), kiedyby w samém źródle mogli zaczerpnąć przymiotów, na które ciąży jest targ na zachodzie. Cóż my im damy Polacy z naszego i z własnego? nic nie mamy do dania, bośmy co było nasze, stracili, a co złe od obcych nazgromadzali. Oni nas proszą o prawdę Polską, a gdzież my tę prawdę mamy?... Prawda Polska leży w wierze i miłości; a w czémże się to u nas objawia ta wiara i miłość? Oni się zapatrują na organizacją naszego społeczeństwa, pod czas, kiedy u nas jest najwyższa dezorganizacja wewnętrzna, rozbitcie i nieład. Oni się pytają co to jest wolność, i jakie ona przynosi owoce? a my im wskazujemy swawolę i rozpustę, a jój owoce w niewoli i śmierci. Oni nas chcą powitać w imię zgody i pokoju, a my im odpowiadamy pogrózkami wojny. Biada nam! bo za zgorzenie cięższa przyjdzie kara jak za grzech własny. Biada nam! bo staliśmy się dla plemion słowiańskich jako suche źródło, które już ani ojczystych ani sąsiednich pól nie użyźnia.

Każdy naród jest jako pojedynczy człowiek, który najprzód powinien kochać Boga, następnie powinien kochać własną duszę, to jest przestrzegać skarbu, jaki Bóg we wnętrzu jego złożył, później opiekować się rodziną jako mu najbliższą, w końcu zaś winien kochać bliźnich swoich i względem nich ściśle zachować sprawiedliwość. Naród

tęż powinien dbać najprzód o własne zachowanie, przestrzegając duchownych przymiotów, jakimi go Opatrzność obdarzyła, a szczególnie wiary, będącej pierwiastkiem życia. Powinien kochać spółplemieńców jako krewnych swoich, a inne narody jako bliźnie. Zazdrość, która się budzi między plemionami, jest przeciwną pokrewieństwu i wyradza grzech Kaima. Biada narodowi, który pierwszy rękę na bratnie plemię podniesie!

Polska w początkach swego istnienia rozumiała to powołanie i zjednać sobie potrafiła pewszęcną młodszą rodziny miłość. Przeznaczenie jej, jasno i wyraźnie wytknięte, nie tylko nie obrażało interesu plemion słowiańskich, ale owszem pomagało do spokojnego i postępowego rozwoju prawdy Bożej w narodach pobratymczych. Z podwójnego jej powołania: apostołstwa na wschodzie i na północy, a obrony rozwiniętego już chrześcijaństwa na zachodzie, stała obliczem zwróconą ku wschodowi, a światło z góry czerpała. Gdy zaś przeznaczenie swoje zwiechnęła, raptem zwróciła się obliczem na zachód i jakby satelita Francji pożyczanem od niej błyszcząc zaczęła światłem, rzucając cień na te właśnie plemiona, które od niej promienia prawdy oczekiwały.

Bóg przeto widząc, iż Polska stała się później jakby niezgrabną parodią innych narodów zachodnich, i krajem tranzytowym fałszu obcokrajowego, odebrał jej poselstwo do Słowian, zrzucił ją z urzędu, i podał w niewolę czyli w ciemności zewnętrzne obcego panowania.

Nie chcemy przesądzać wyroków Opatrzności ani miłosierdzia Bożego, nie chcemy też rozpaczać o poprawie naszego narodu: wszakże trudno przed samym sobą zataić smutnego przeczucia, iż Polska dobrowolnie coraz głębiej w grób się zapada i ostatecznie śmierć

połknie, jeśli do przymiotów wiary i miłości powrócić nie zechce.

Wiara zaś nie opiera się tylko na samej czci zewnętrznej; i dla tego to nie dość jest w niedzielę jechać do kościoła a plebana na obiad zaprosić; nie dosyć jest pluskać w rozmowie pochwyconym z Ewangelii tekstem, ale trzeba całego ducha poddać prawu Bożemu a uczynki wedle ducha urządzić, tak, aby Bóg kierował myślą a czyn wypływał z myśli prawdą Bożą oświeconej.

I w miłości też bliźniego nie dosyć jest ogłaszać zasadę zgody, i narzekać na rozdział społeczeństwa, a szumieć braterstwem, ale trzeba krzyż bliźnich dźwigać, to jest znosić ich ułomności i (nienawidząc grzechu) miłować grzesznika, szukać go, podnosić i przed własnym sądem a również przed drugimi oczyszczać. Trzeba zacząć epokę wzajemnej rehabilitacji, czyli wzajemnego usprawiedliwiania. Bo w istocie, patryotyzm budujący najwięcej na tym polega, aby co upadłe podnieść, co słabe po krzepić, co oziębłe w narodzie ciepłem wiary i miłości zagrzać, co zmiérające duchem z nieba zaczerpniętym ożywiać. To zaś wszystko nie jest całego społeczeństwa ani rządu dziełem, ale jest pojedynczych ludzi pracą. Każdy może, i każdy powinien krzyż najbliższego swego sąsiada dźwigać, a dobrą jego stronę upatrzawszy, pielęgnować, rozwijać i wyszukiwać jęj pierwej aniżeli ułomności do natury ludzkiej przywiązanej, wedle zdania mistrza naszych poetów:

Przyszedł mądry, i spojrział na mą nogę prawą,

Głupi na lewą, która'm miał kulawą.

Jakby na przekór prawdzie najwięcej dzisiaj w Polsce o miłości i braterstwie mówią, a przecież nie było wieku, w którymby mniej było wzajemnego miłosierdzia,

wyrozumienia, szacunku dla sławy bliźnich, poszanowania dla zdań, i względu dla wieku i zasług. Miłość przecież socyalna a nienawiść indywidualna w parze z sobą chodźć nie mogą, bo nie ma cnoty publicznej na występku prywatnym opartej. Przyjaźń nawet nasza dawna, tak serdeczna, prostoduszna i czysta, przyjaźń, która była jednym z przymiotów społeczeństwa Polskiego; *gościnność* odznaczająca pożyćcie dawne, wszystko to zmieniło już swoją naturę, straciło znamię dawniej prostoty i prawdy.

Wrócić więc do myśli narodowej tém prędzej nam potrzeba, iż, gdy do sojuszu powołani być możemy przez narody bliskie nam krwią, to albo się przed nimi stawimy z piętnem naszym duchowém, po którym nas poznają, lub też bez niego, a w tenczas jako obcych nas odrąca, odzywając się do nas słusznie: „Idźcie bratać się z tymi, których piętno nosicie.“

Lecz gdybyśmy odepchnięci przez swoich mogli nawet znaleźć u obcych plemion współczucie, to po ziemsku mielibyśmy może jakąś pociechę; ale niestety! tak nas Opatrzność postawiła, iż gdy się z własnych wyzujemy przymiotów, to nikt się do nas nie przyzna, ale owszem każdy nas się zaprze i palcem wskazywać będzie jako upadłe istoty i marnotrawne syny łask, które Bóg hojnie na Polskę wylęwał. Powiedziéć śmiało można, iż Polak tylko jeden na żadną narodowość obcą przetłómaczyć ani przekształcić się nie da.

Każdego obcego narodu karykaturalnym jesteśmy naśladownictwem, i gdy kto z nas przestaje być Polakiem, to w tenczas zaczyna być *niczém*. Ten stan nicości naszej coraz wydatniej objawia się w świecie, bo coraz częściej widzimy u nas ludzi, do których się ani Polacy, ani Francuzi, ani Niemcy, a tém mniej Słowianie przyznaćby mogli.

Jakiś rodzaj kosmopolityzmu stworzył zlepkę rozmaitych a pomieszanych przymiotów w duszy nowych pokoleń. Chodzące to są kalejdoskopy, które za każdym poruszeniem inną figurę przedstawiają. Tancerze menuetów salonowych, nie dorosłe dyplomaty, przerośli parafianie, uszczypliwi a grzeczni jak pokrzywa ukryta w pęku kwiatów, nic Słowiańskie i nic Polskiego nie mają. Chcieliby sprostać w uprzejmości Francuzom, a nie mogą, bo są zbyt jeszcze surowego wyrobu; i w głębokości Niemcom, a nie zdołają, bo są płytki; w powadze Anglikom a nie potrafią, gdyż w miejscu ambicyi posiadają tylko próżność. Zostają więc w zagadce dla wszystkich a nawet i dla siebie samych.

Inne szczepy Słowiańskie, chociaż przymiotów duchowych w sobie nie rozwinęły, tak dalece, iż te przymioty leżą u nich jako ruda w kruszec nieprzetopiona, to jednak pozostały w swój prostocie, jakby nieoceniony materiał na przyszłe wielkiego narodu bogactwo. Sąto drogie kamienie bez poloru, które zdobić mają koronę z wielu gałązek splecioną. Między niemi Polska przeznaczoną była błyszczyć jako dyament czelny, już w pracy chrześcijańskiej wygładzony, ale pod warunkiem, iżby zachowała czystość swój wody i odblask prawdy. Jeżeli te przymioty utraci, to stanie się niegodną doliczać do ozdób rodowych klejnotów Słowiańskich.

Słowo jeszcze ostatnie przydam do tego rozdziału. Jak matka w pszczelnym ulu sama tylko nie posiada żądła, kiedy inne pszczoły pracownice są w nie uzbrojone: tak dzisiaj Polska wśród plemion Słowiańskich jedna tylko wszelkich środków zaczepki i obrony jest pozbawioną. Dzięki Bogu za to! bo dla niej walka z drugimi już się skończyła, a czeka ją ważniejsza praca, rodzicielstwa

wychowania i skupiania w jednym ulu robotnic, które znosić będą wspólny dorobek ku wspólnemu pożytkowi i ku wspólnej ośłodzie. Niechaj więc Polska nie żałuje wytraconych z jej rąk bagnetów, ani utęsknia za wyrwanem jej żądłem, bo w słabości jej potęga, a w miłości jej zwycięstwo, a w wierze katolickiej jej rodzicielstwo.

O miłości nieprzyjaciół.

Kto się nad obyczajem społeczeństwa chrześcijańskiego, wśród którego żyjemy, zastanowi, i porówna go z prawem Bożem, przyznać musi, iż zamiast postępować ku doskonalszemu życiu przez zastosowanie ducha i czynu do świętych zbawiciela przepisów, cofamy się wstecz ku barbarzyństwu, pogaństwu i żydowstwu. Jakoż u pogan przyjaźń była rzeczą świętą, ale zemsta na nieprzyjaciołach była czynem zaszczytnym. U Żydów znowu (którzy wychodzili z dogmatu nieubłaganej sprawiedliwości Bożej), zemsta równoważyła krzywdę: „Oko za oko, ząb za ząb“. Prawo atoli odkupienia przyniosło dla całego świata nowy zupełnie przepis w miłości nieprzyjaciół i na nim cały porządek chrześcijański oparło. Nie ma prawa, któreby w Ewangelii świętej jaśniej i dobitniej wyrażone było, jak dogmat miłosierdzia i przebaczenia nieprzyjaciołom: on bowiem nadaje nową postać całemu układowi społeczeństwa. Mówi Pan w Ewangelii Śgo Mateusza (w Rozd. V w. 43). „Słyszeliście, iż powiedziano: będziesz miłował bliźniego twego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego (w. 44). A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, i módlcie się za prześladowające i potwarza-

jące was (w. 45) abyście byli Synami Ojca waszego, który jest w niebiesiach.“

Chcąc zaś Chrystus Pan jeszcze wyraźniej oznaczyć różnicę zachodzącą pomiędzy starém prawem *sprawiedliwości* a nowém *miłosierdzia*, uczy nas w dalszym ciągu tej samej Ewangelii. „Słyszeliście iż rzecono jest starym: nie będziesz zabijał: a kto by zabił będzie winien sądu.“

(22) I znowu później: „Zgódź się z przeciwnikiem twoim: pókiś jest z nim w drodze: by cię snadź przeciwnik nie podał sędziemu, a sędzia by cię podał słudze, a byłbyś wrzucon do ciemnicy.“ (w. 25).

Na każdej karcie Ewangelii świętej również jak i w duchu całego pisma nowego zakonu przebija się nie tylko rada ale wyraźny rozkaz zbawiciela przebaczenia wzajemnych przewinień, i to jakoby w odwdzięczeniu stwórcy za odpust pierwородnego grzechu przez Chrystusa Pana przyniesiony. Jakoż zbawiciel, umieszczając nawet w modlitwie treść nowego prawa, pragnął, abyśmy codziennym ślubem względem Boga obowiązek odpuszczeniem winowajcom naszym potwierdzali. A w końcu nie tylko prawo Chrystusa ale i Jego przykład najwymowniej do nas przemawia. Ostatnia modlitwa umierającego syna Bożego była za nieprzyjaciołmi, albowiem stał się on niemal przed Ojcem rzecznikiem katów swoich mówiąc: „iż nie wiedzą co czynią.“ W zasadzie więc przebaczenie nieprzyjaciołom wedle prawa chrześcijańskiego stało się niemal koniecznym warunkiem zbawienia, gdyż jest warunkiem miłosierdzia Bożego nad nami. Że zaś każdy naród równie jak i każdy człowiek stoi w rachunku przed Bogiem i za własne i za przodków grzechy, przeto jedyny mu zostaje sposób złagodzenia sądu Bożego, ofiarując w zamian miłość nieprzyjaciół.

Kiedy się jednak o nieprzyjaciółach mówi, to należy nader ważne uczynić rozróżnienie między nieprzyjaciółmi ciała a wrogami duszy. Nie tych albowiem obawiać się rozkazał Chrystus, którzy śmierć zadają ciału, ale tych, którzy zabijają duszę. Z tymi ostatnimi w żadną nie możemy wchodzić tranzakcją, i ci to rzeczywiście są głównymi naszymi nieprzyjaciółmi, albowiem są zawistnymi Bogu, i oddalając nas od niego, są też sprawcami naszego potępienia. Tacy zaś nie tylko znajdują się zewnątrz narodu, ale są też pomiędzy nami i są z narodu; podobni do wrzoda toczącego ciało, który nie tylko z zewnętrznej przychodzi zarazy, ale i z wewnętrznego psucia się soków wyrasta. Ci, którzy w nas rozburzają zasady wiary i moralności, którzy niszczą w narodzie cnoty plemienne, słowem ci wszyscy, którzy nas od Boga i jego prawdy odwodzą, i którzy od wierności dla kościoła katolickiego odprowadzają, ci wszyscy są w istocie nieprzyjaciółmi naszymi i z tymi zawięzać nie możemy sojuszu.

Sformułować więc zadanie nasze pod względem stosunków z nieprzyjaciółmi w ten sposób powinniśmy: iż wszelki nieprzyjaciel Boga jest nieprzyjacielem naszym i ojczyzny naszej, albowiem wprowadza między nas piekło. Wszelki zaś nieprzyjaciel nasz osobisty czyli ciała naszego, lub kraju naszego, mniej nam szkodzi, gdyż nas przez chłostę do Boga popędza, a przez niego skracamy czyściec nasz. Wreszcie na ucisk jest lekarstwo, a dla śmierci doczesnej jest też zmartwychwstanie; ale na śmierć ducha nie ma ratunku. Dopóki więc bicz prześladowania duszy nie obrazi, dopóty, chociaż jest chłosta bolesną, przecież cios nie jest śmiertelnym, i często dopuszcza jój Bóg, dla wywołania uspięnej działalności ducha, a zsyła na cały naród

karę, jakby ogień oczyszczający surową rudę na kruszec bogaty.

Lecz twartrato rzecz powiedzieć Polakowi, aby kochał nieprzyjaciół swoich; przebaczył tym, którzy go uciskają i modlił się za tych właśnie, którzy go prześladowają. Ciężka to rada: stręczyć miłość w miejsce zemsty, która się wrabia w krew i w ducha pokrzywdzonego narodu!... A przecież w tym jednym środku cała jest nadzieja doczesnego i wiecznego zbawienia tak indywidualów jak i ojczyzny.

Bóg od nas już nie pyta ofiary z dóbr doczesnych i z majątku, bo wie, iżbyśmy wszystkie korzyści ziemskie na ołtarzu ojczyzny złożyli. I nie domaga się ofiary z krwi naszej, bo nas zna, a wie, iżbyśmy wszystką krew za sprawę kraju przelali. Wyższej chce od nas ofiary, to jest złożenia zemsty naszej i złagodzenia duchowego żalu. Dociska więc ciało narodu Polskiego dopóty, dopóki niewydobędzie z serc słowa przebaczenia i miłości, i dopóki nie zawołamy w połączeniu się z Chrytusem do pana i ojca: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!“

A wreszcie do zwyciężenia nieprzyjaciół potrzeba tylko siły zwierzęcej, kiedy do przebaczenia potrzeba siły ducha, wyższą łaską natchnionego. Po zwyciężeniu siłą ramienia uwalnia się dopiero od nieprzyjaciela; po przebaczeniu zaś, zyskuje się przyjaciela. Polak więc, który z wyższych przymiotów ducha i z wybraństwa Bożego bliższym jest anioła jak zwierzęcia, użyje raczej tej siły, która jest odpowiednią jego szlachetnemu przyrodzeniu.

Przeczuwam jednak zarzuty ruchliwej publiczności, a wiem, iż mnie wielu osądzi, jakobym stręczył poddanie się złemu, zgodzenie się na stan upadku, złożenie broni, i rozpaczliwe przyzwolenie na niesprawiedliwość, a

uświęcenie krzywdy. Na to odpowiem krytykom moim: iż ja w przebaczeniu nieprzyjaciołom wygraną a nie przegraną dla mego narodu widzę, i niechcę, aby naród był pobitym w miłości, ale raczej iżby zwyciężył miłością. Jeśli bowiem pokora i miłość niebiosa zniewala i Boga rozbraja, to tém łatwiej zawiść ludzką zwycięża. Widziałem często ludzi nader mściwych, którzy tak byli upokorzeni przebaczeniem strony pokrzywdzonej, iż całe życie nie wystarczało im ku odwdzięczeniu szlachetnego względem nich postępku. Ta więc teoria jest pewną i nieomylną, bo na prawie Bożem i na prawie przyrodzonym opartą, a nawet dogadza w pewnym względzie uczuciu szlachetnej zemsty, albowiem nie ma więcej upokarzającej kary dla napastnika jak wspaniałomyślne przebaczenie ze strony pokrzywdzonego.

Jakież więc praktyczne zastosowanie mogłaby Polska z powyższych uwag zrobić? Oto niechaj sąd o krzywdzie swojej zostawi Bogu.... zemstę krwawą niech złoży mu w ofierze, myśli odwetu niechaj odstąpi, a szlachetną miłość względem nieprzyjaciół w sercu swoim niech obudzi.

Ależ miłość nie na tém zależy, iżby grzech nieprzyjaciela podzielać, i cnót własnych odstąpiwszy, w jednej obrazie Boga z nim się łączyć. Ani nie na tém, aby w upodleniu przed nim stawać i podchlebstwem przeciagać go na swoją stronę; ani też w końcu nie zależy na wyrzeczeniu się swęj przeszłości i przyszłości, na poniżeniu ducha swego i poświęceniu nadziei; nie bynajmniej! Kto przebacza, ten owszem zyskuje na godności, ale onęj nie traci, a tém samém zostaje przy swém prawie, a w nadmiar wzbogaca się korzyścią nowęj przed Bogiem zasługi. Z przebaczenia nieprzyjaciołom płynie nie tylko prawo do większych nadziei ale i do pewności miłosierdzia Bo-

zego, a ztąd téż nie tylko sprawy narodowej lekkomyśl-
nie nie poświęcimy, ale owszem nową ją enolą wzbo-
gacimy, nowym urokiem świętości odziejemy.

W postępowaniu więc z tymi, którzy zewnątrz nas
uciskają, umiejmy zachować godność i miłosierdzie; *mi-
łosierdzie* mówię: bo rzeczywiście oni raczej naszego a
nie my ich potrzebujemy miłosierdzia. Starajmy się wzlę-
dem nich zachować sprawiedliwość, przyznając w nich
dobrą stronę, jeśli ją w czémkolwiek upatrzemy, i szanując
w nich prawdę, o ile onę posiadają. Prawa dobre (a z prze-
pisami Bóskimi zgodne) szczerze im pochwalmy i wspól-
nie je z nimi rozwijajmy, cierpliwie i z godnością znosząc
te, które nas wyjątkowo dociskają.

Strzeżmy się straszyć ich zemstą naszą i miotać po-
grózkami, albowiem groźba większą jest nieraz obrazą du-
cha jak sam czyn, gdyż drażni miłość własną i wyzywa
do walki.

Nie udawajmy fałszywej miłości w obłudnych oświad-
czeniach i brataniu się w sposób światowy (niby to pou-
fały) a w gruncie zdradliwy, lecz zachowujmy względem
nich życzliwość chrześcijańską, każdemu z bliźnich przy-
 należną.

Nie przechwalajmy się nadziejami przyszłych prze-
znaczeń naszych, albowiem każda przechwałka budzi albo
zazdrość albo wzgardę. Dla tego bądźmy poważni, we-
wnętrzni i w sobie skupieni; wielkato bowiem jest siła
owo ześrodkowanie ducha i jakby zgromadzenie rozpró-
szonej myśli w jeden punkt woli.

Zwyczaj był w Polsce, aby obcych nam ludzi uni-
kać, i na tém polegał patryotyzm, iżby ich zdaleka ob-
chodzić. Ten zwyczaj był szkodliwy, albowiem zaostrzał
niechęć i zemstę. Do życzenia jest przeto, aby Polacy

przyjęli pewien takt pośredni, który im nawet (obok prawa miłości) sama przyzwoitość nastęrcza. Niechaj przeto zachowują pewną uprzejmość, która ani się za nikim nie uganiam ani też unika, lecz się układa z przeciwnymi żywiołami do pewnej towarzyskiej harmonii, nie będącej wcale ani poufałą przyjaźnią, ani też usystematyzowanym rozdziałem.

Im więcej Polska powracać będzie do wiary, i im więcej badać się nauczy obowiązków swoich z prawa chrześcijańskiego płynących, tém łatwiej jej przyjdzie dopełniać prawa miłości, i przez nią rozbrajać zaostrzone niechęci, a tém samém zwyciężać bez broni i zniewalać potęgą wyższego ducha.

To prawidło jest na wszystkie czasy, a przecież nieprzesądza ani praw ani środków, jakie Bóg złożył w łonie narodu. Prawo miłości nie cierpi przedawnienia, tak, jak i prawo obrony jest wrodzonym człowiekowi. Niechodzi więc o poddanie się niewolnicze, ale o miłość płynącą z wolności, i o przebaczenie płynące z miłości. Chodzi o zniewolenie Boga dla nas przez chętnie poświęcenie mu krzywd naszych. Chodzi o wzbudzenie w sercach nadziei przez zniewolenie, i rozbrojenie w duchu nieprzyjaciół naszych, a tém samém przez odwrócenie od nas ich zemsty. Najwięcej zaś chodzi o spełnienie miłej Bogu ofiary i dopełnienie prawa, które my w świecie jako najwięcej cierpiący w czyn wprowadzać mamy, i zacząć może powszechne z miecza rozbrojenie. Na tém więc rzeczywiście sprawa nasza zahaczoną i w niebie i na ziemi, przed Bogiem i u ludzi jest.

ZAKOŃCZENIE.



Gdyby człowiek słuchał praw Bożych i żył wedle Boga, to byłby panem wypadków; bo rozumiałby punkt wyjścia, drogę i cel; nie pytałby się *co będzie?* gdyż znając przyczyny, miałby też zdolność przewidzenia skutków. Ale dzisiaj, kiedy ludzie odstąpiwszy Boga, na domysłach tylko postępowanie swoje oparli, to świat cały (tak wieczny jak i doczesny) stał się dla nich trudną do rozwikłania zagadką, i jeden drugiego pyta w niepokoju i trwodze: *co to będzie? coź się z nami stanie? gdzież idziemy? i jakiż będzie koniec dzisiejszego położenia?*

Ludzie więc zamiast rozwijać prawdę daną z nieba, dowiadują się tylko o wypadki, nagabując wszystkich pytaniem: „czy jest co nowego? Tak więc nikt się już dzisiaj prawdy nie uczy, ale każdy się czegoś dowiaduje i żyje nowinami z bruku i z dzienników czerpanemi, a powzięte szybko przetrawia, i znowu głodny jest nowych wiadomości, które jakby kropla wody w trawiącej gorączce język odwilżą, ale wewnętrzny ognia nie ugaszą.

Bez Boga i stępu praw Bożych dwie gwałtowne namiętności dręczą społeczeństwo, a temi są: niepomiarowana ciekawość i nieograniczona pycha. Że zaś tak pierwsza jak i druga nie może być zaspokojoną, przeto na-

stępuje rozpacz czyli zwątpienie, a za niemi stan bezwładności i śmierci. Ztąd téż i naród, który w Bogu nie położył swoich nadziei i wedle praw jego żyć przestał, oczekuje zawsze z zewnątrz wypadków dla siebie korzystnych, ale nic sam przez się nie czyni, coby szczęście jego sprowadzić lub pozyskane utrwalić mogło. Naród taki jak żebrak ogląda się na prawo i na lewo, oczekując obcej jałmużny, a wbezczywności woli zmierać głodem i usychać od pragnienia, jak szukać w porządnej pracy i uczciwym zarobku przyzwoitego zaspokojenia potrzeb.

W narodzie, który na swoją egzystencją nie pracuje, rodzi się namiętna ciekawość politycznych wypadków w obcych nawet krajach zaszyłych, i ztąd owo wyteżenie wzroku na wschód i na zachód, ztąd ta radość na wieść o zaburzeniach; ztąd wreszcie owe życzynie gwałtowne, aby się coś zrobiło, choćby okupem powszechnego nieszczęścia i krwi rozlewu.

Rodzaj wiary kabalistycznej ogarnia niemal dzisiejsze społeczeństwo, i wszyscy pragną nie rzeczy wiadomej, ale właśnie jakiegoś wypadku nieoznaczonego, a na nim nadzieje swoje budują. Pragną ruchu, nie pytając się, czyli ich ten ruch do piekła lub do nieba zaprowadzi, i radziby doczekać się jakiegokolwiek zmiany, nie wiedząc, czy ona wyjdzie na lepsze lub na gorsze światu.

Oto jest stan społeczeństwa, które oddaliwszy się od Boga, uwierzyło w fatalizm. Jakoż dzisiaj duchowy niepokój, a drażliwość nerwowa, a obok niej bezwła-

dność czyli lenistwo ciała, głównym są przymiotem ludzi, którzy zburzyć obecnego stanu rzeczy nie mają siły i odwagi, a do zbudowania nowego porządku nie posiadają ani Boskiego natchnienia, ani ludzkiego rozumu. Bez prostoty gołębiczy, a bez przezorności węża, rusza się świat konwulsyjnie, jak w kawałki rozcięty padalec, który umrzeć jeszcze nie może, a zrosnąć się już i żyć nie potrafi.

Przeciwnie naród, który w Boga wierzy, zna ostateczne swoje przeznaczenie, a ztąd też wie, co ma robić w chwilach niewoli, a jak ma używać odzyskanej wolności. Naród taki, posiada prawdę, a więc jej szukać nie potrzebuje. Rozwija się on jak drzewo na wiosnę (gdy mu słońce Boże przyświeci), soki zaś wszystkie w rdeń swój zgromadza, gdy mroźna zima nadchodzi. On nie wygląda światła przed brzaskiem, ani się od zachodu ranej zorzy spodziewa; ale znając tryb rzeczy wedle Boga, wszystkiego dla siebie na drodze porządku i sprawiedliwości oraz na drodze własnej zasługi czeka. Naród wedle Boga żyjący, chociaż ulega zmianom i przeobrażeniom (albowiem wedle ciała jest śmiertelnym), to przecież popaść nie może zagładzie, albowiem w duchu jest nieśmiertelnym. On wie, iż przeobrażenie nie jest *śmiercią* ani *zagładą*, ale życiem w innym kształcie (większym lub mniejszym), ale jest zawsze ténże samém życiem.

Jedwabnica nie umiera, chociaż jest w niewoli swojej poczwarki zamkniętą; owszem, wewnątrznie w tój epoce ściele sobie tkaninę, w którą się potén ziemscy królowie

odziewają; a sama, dokonawszy misternego dzieła, wylatuje motylem w stanie doskonalszym, wyższym i skrzydlatym. Nie żałuje ona wówczas dawnego swego życia gąsienicy, i wie, dla czego przez pewien czas w zasklepieniu żyła. Naród też ma chwile swoje pozornej śmierci, ale i wten czas nie umiera, ale żyje wewnętrznie; i jeżeli chce kiedyś wylecieć motylem, to niechaj ściany swego więzienia nieprzerwaną nitką cnót i zasług wypełnia.

Ziemia, która leży odłogiem i wstrzymaną jest w swęj rodzajności, nie próżnuje, ale odpoczywa i niemal wzbo-gaca się w nową siłę ku wydaniu przyszłego plonu, i chociaż nie jest pokrytą ani kwiatem, ani owocem, to przecież zaród kwiatów i owoców w łonie swym nosi.

Ale narodom trudno jest żyć samą tylko myślą moralną, one chcą rozwinąć się w życiu doczesnym: w ustawach, we władzy, w swobodach i w niepodległości, i zładto duch narodu dopomina się o swoje ciało i o swoją odzież. Ciasno mu jest chodzić w obcej sukni na jego rozmiar nie przykrojonej; i dla tego są chwile, w których naród cierpi, ten zaś stan nazywa się niewolą. W takim położeniu jest Polska; a nikt nie zaprzecza, aby jęj ucisk nie był nader bolesny, i jęj żałoba sprawiedliwą, lecz i ta boleść nie jest *na śmierć ale na życie* (wielkie i obszerne), i nie jest piekłem ale jest męką czyszcową, przez którą naród jakoby pojedynczy człowiek przechodzi z ludzkiego do Bożego królestwa.

Tych chwil cierpienia, będących zbawiennym zadat-

kiem świętszych nadal przeznaczeń, niechaj Polska oględnie i pocziwie używa, i ani jednej bez zbudowania się wewnętrznego nie utracą, albowiem w tym jej grobie jest ukryte życie, podobnie jak w martwym na pozór ziarnku ukrytym jest zarodek na niebotyczne i gałęziste drzewo.

Jeżeli Bóg Polsce odmówił władzy narodowej, to przecież zostawił jej ojcowstwo duchowe w biskupach i kapłanach Polskich, przy których ludność narodowa wiarą pokrzepiać się może. Pamiętamy z dziejów, iż biskupi nasi, jakby spojniki jedności narodowej, umieli obudzać zgodę, którą w Polsce wewnętrzne niesnaki lub też dynastyczne zajścia roztrącały. Dzisiaj więc, kiedy myśli obce rozbijają nasze jedność, a pokusy wszelkiego rodzaju, czyto ze strony rozpaczy lub też ze strony niewiary, natarczywiej na nas uderzają, to zwierzchność czysto duchowa w biskupach naszych ostatnią a nader ważną jest dla nas rękojmą zgody, i onej przestrzegać a podnosić ją i szanować najwyższym jest narodu obowiązkiem. Jestto już ostatnia nasza pojednawcza władza, ostatnia deska ochronna, na której naród wśród powszechnego rozbicia i nieszczęść wylewu domowe ratuje bogi swoje, i do bezpiecznej przewozi ostoi.

Jeżeli zaś wyrzekamy na małą pomoc duchową, jaką w biskupach do dziś dnia znajdujemy, to zapytajmy się pierwój nas samych, o ile pasztérzom naszym dajemy z nas otuchy? Gdzież są między nami te wierne owieczki, które rozumieją głos pastérza i idą za nim? gdzież który

z biskupów naszych ma tę pociechę, aby się widział otoczonym synowską miłością i uszanowaniem wiernych swoich w Chrystusie? Pastérze nas czekają na pożywnym polu wiary, a my jako rozgonione stado wypasamy się fałszem po jałowych skałach polityki dziennej, lub wolimy umrzeć głodem jak żywić się zdrowym pokarmem prawdy Bożej.

Otoczmy więc pastérzy naszych tak, iżby oni uczyli, że się na ramionach naszych wspierają; podnieśmy ich w czci i szacunku, iżby wiedzieli, że są duchowemi ojcami narodu; a oni też rozmiłują się w owczarniach swoich, i podziela naszą boleść, a przyniosą ulgę w pociechach z nieba czerpanych, albowiem Bóg i u nich dopomni się w swoim czasie o rachunek z pastérstwa, które im nad nami powierzył.

Jeżeli zaś naród tej rady nie zrozumie, to już innéj dla niego ani w sercu ani w duszy nie mam, i wolę pieśń łabędzią nad ojczyzną moją zaśpiewać, jak zwodzić Polskę nadziejami, na prawie Bożém i na ciągu dziejów naszych nieopartémi.



SPIS PRZEDMIOTÓW

W T É M D Z I E Ł E K U Z A W A R T Y C H .



	str.
Przedmowa autora	3.
O pokoju i wojnie	9.
O stanie dzisiejszym naszego kraju pod względem uspo- sobień rewolucyjnych	31.
O patryotyzmie budującym	45.
O patryotyzmie księży	54.
O stosunkach obywateli z władzą	73.
O stosunkach wewnętrznych społeczeństwa polskiego	88.
O przymiotach rodzimych polskich i o myślach napły- wowych	105.
O miłości nieprzyjaciół	120.
Zakończenie	127.

07546



Biblioteka Główna UMK

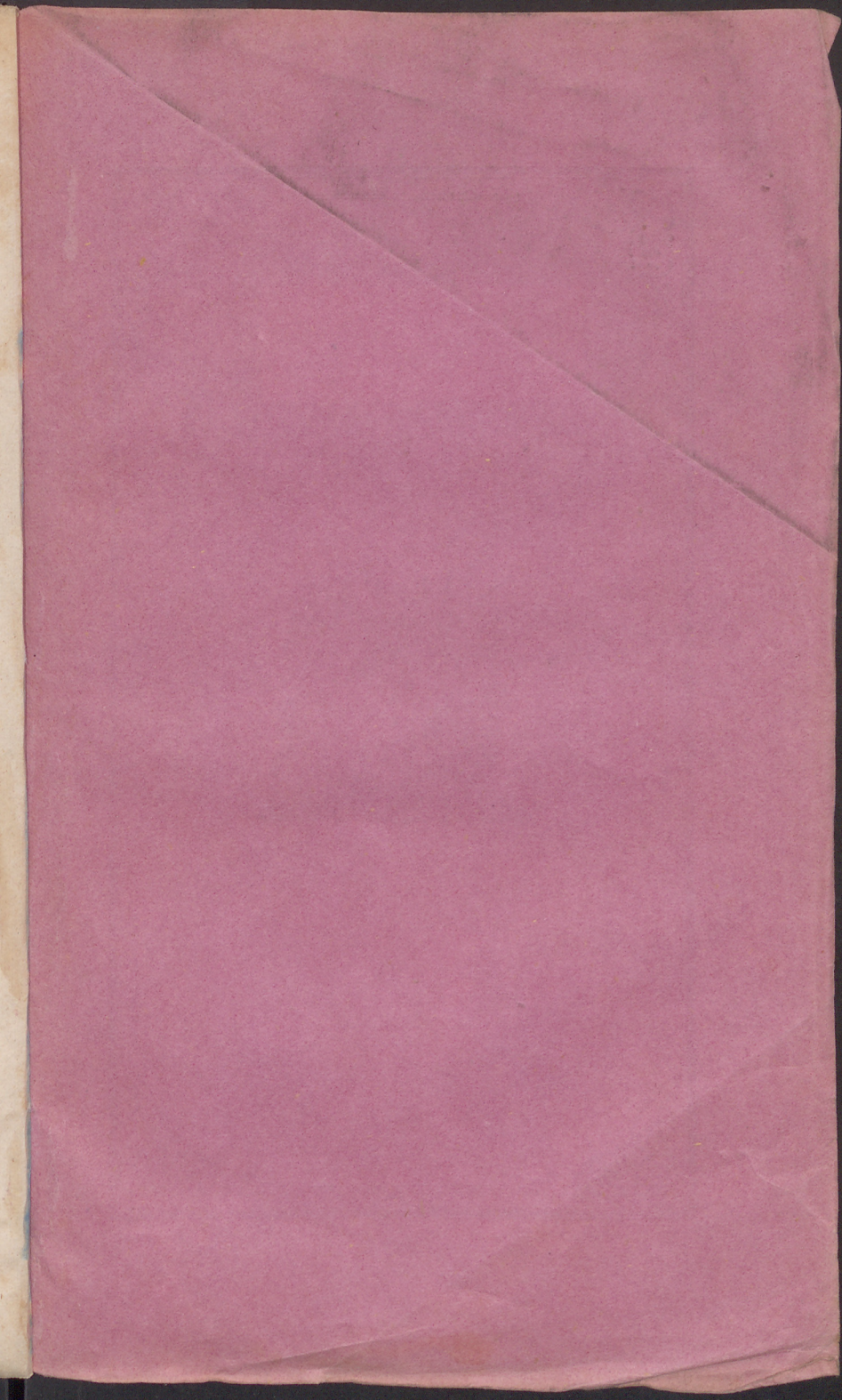


300050099658

94570



24.570



24570

Biblioteka Główna UMK



300050099658

